Nr. 52. Lwów, Niedziela dnia 25. Sierpnia 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

Sprawy kultury krajowej.

I.

Niezmiernej doniosłości dla przyszłego rozwoju naszego rolnictwa, jest projekt Wydziału krajowego o popieraniu melioracyi gruntowych w Galicyi. Projekt ten, który w formie sprawozdania sejmowego, umieściły w swych szpaltach pisma codzienne, opracowany został z całą znajomością rzeczy, w sposób prawie wyczerpujący ten przedmiot. Poznajomiwszy publiczność z tem wszystkiem co na tem polu w Angii, Belgii, Francyi, Niemczech i Austryi zrobiono, Wydział krajowy słusznie poszczycić się może, iż stwarzając nową organizacyą kredytową dla celów melioracyjnych, będzie pierwszym wśród krajów Austryą składających, który do tego daje inicyatywę.

O potrzebie zaprowadzenia czegoś podobnego w Galicy' bytecznem podobno byłoby obszernie się rozwodzić. Skutkiem nadmiernego obciążenia hypotek naszej własności wiejskiej różnego rodzaju i nazwy pożyczkami — skutkiem trudnego i wysoko-oprocentowanego kredytu, tylko szczupła liczba zamożnych właścicieli ziemskich była wstanie zająć się racyonalnem ulepszeniem swoich majątków ziemskich — a jakkolwiek mało wiemy o tych próbach kulturowych, to wszakże niewątpimy, że musiały one korzystnie oddziałać na zwiększenie produkcyi.

Rolnictwo nasze, nie możemy powiedzieć, że upada, lecz nie podnosi się odpowiednio do usiłowań sąsiadów naszych na Zachodzie, odpowiednio do konkurencyi, w jakiej stawiają je ceny zboża wielkiemi masami ze Wschodu, z Ameryki i z Australii na europejskie targi napływające. Otwarcie dróg komunikacyjnych z oddalonemi, a nadzwyczaj żyznemi okolicami południowej Rosyi, protekcya wyraźna, jakiej koleje żelazne nasze transportom tym udzielają — wartość produkcyi tutejszej obniżyły, rujnując dotychczasowe podstawy cen, zawisłe od większych lub mniejszych urodzajów i innych miejscowej natury okoliczności. Europa dziś, wskutek komunikacyi owych, niepotrzebuje już obawiać się głodu, względy klimatyczne przy takich niezmiernych przestrzeniach, zkąd czerpią się surowe produkta, zniknęły na zawsze, lecz u nas następstwa tego bardzo szkodliwie oddziałały na rentowność gospodarstwa rolnego, dławiąc jego byt konkurencyą, której już usunąć fizycznie nie potrafimy. Słusznem jest przeto, że władza reprezentująca kraj nasz, uznała taką sytuacyą jako groźną dla rolnictwa miejscowego i wystąpiła z projektem ratunku, jaki na czasie uważała za najwłaściwszy. Podnieść produkcyą z danej przestrzeni stosunkowo mniejszym kosztem, niż spodziewane zyski pokryć je mogą, jest na razie jedyną drogą dla utrzymania się choćby na dzisiejszem stanowisku.

Projekt Wydziału krajowego, nad skutecznością, którego dyskusya ma otwarte pole, jest pierwszym z rzędu poważniejszych prac na niwie ekonomicznej w Galicyi, i musi pociągnąć za sobą dalsze następstwa dla stworzenia reformy stanu rolniczego u nas, reformy na warunkach odpowiednich obecnej egzystencyi w innych krajach opartej. Towarzystwa gospodarcze, jak się pokazuje, wegetując z dnia na dzień, nie miały ani siły, ani odwagi zrobić energicznego przeglądu sytuacyi naszego rolnictwa, a tem mniej odszukać na tę chorobę radykalnego lekarstwa. Władza więc musiała tę pracę wziąć na swoje ramiona, i spodziewamy się, że potrafi przeprowadzić rozpoczęte dzieło z pewną już nabytą w urzędowaniu rutyną i sprężystością. Że kraj cały przyklaśnie jej pracy — nie mamy przyczyny powątpiewać.

Projekt, o którym mowa, i którego bliższym rozpatrzeniem mamy się zająć w następnych numerach „Tygodnia,“ da się streścić w ten sposób: Kraj zaciągnie w obligacyach pożyczkę w wysokości pięć milionów złr. Funduszami temi dysponować będzie Wydział krajowy, udzielając podług uznania swego pożyczek tak zwanym spółkom wodnym, lub pojedynczym właścicielom gruntów na melioracye uznane przez siebie za pożyteczne w danej miejscowości. Pożyczkom tym uważanym jako ciężar gruntowy i uprzywiliowanym przed wszystkimi innymi ciężarami rzeczowemi, służyć będzie prawo politycznej egzekucyi bezpośrednio po państwowych podatkach i publicznych należnościach.

Oto są główne podwaliny projektu Wydziału krajowego, ujęte w ustawę obejmującą piętnaście paragrafów, tudzież wniosek do uchwały i rezolucyi sejmowej. Jak widzimy, ustawa taka organizując nową władzę kredytową w Galicyi pod zarządem reprezentacyi krajowej, mieści w swej osnowie przedmiot ulegający potrójnej obserwacyi. Raz jako ustawa finansowa, drugi raz jak ustawa prawodawcza, a po trzecie jako statut przepisujący warunki manipulacyjne dla przyszłej instytucyi kultury krajowej.

Nim pozwolimy sobie wobec tych czynników objawić nasze zapatrywanie co do zaprojektowanej ustawy i przyszłej działalności organów wykonawczych, niech nam wolno będzie postawić ogólną uwagę, że projekt, o którym mowa, skierowany jest prawie wyłącznie dla podniesienia większych gospodarstw rolnych w Galicyi. Nie zaprzeczamy, że klasa ta właściciel ziemskich najlepsze daje rękojmie, tak co do bezpieczeństwa ulokowanych na ich gruncie funduszów, jakoteż racyonalnego i umiejętnego przeprowadzenia ulepszeń; jednak skoro się pisze ustawa mająca długie lata zapewnionej egzystencyi, wypadałoby objąć takową i mniejszą własność, która może nie zaraz, ale w niedalekiej przyszłości zechce wziąć udział w tem krajowem dobrodziejstwie.

Rozczytując się w urządzeniach innych państw, a szczególniej rządu francuskiego, widzimy, że tam właśnie najwięcej zwracano uwagi na zachęcenie małej własności do brania udziału w pracach melioracyjnych, że tam bezpłatnie na koszt rządu wysyłano techników dla sporządzania planów drenowania, osuszania i nawodniania, że dawano im narzędzia i rurki drenarskie bezpłatnie, a nawet kosztem państwa uskuteczniano na próbę roboty na ich polach. Sądzimy, że i u nas podobne usiłowania nie powinny być pomijane ze względu, iż drobna własność jeszcze

gwałtowniejszej potrzebuje pomocy, że zajmuje dwie trzecie albo więcej ziemi w swem posiadaniu, i że bardzo często całość robót melioracyjnych na gruntach większej własności, nie może się obejść bez podciągnięcia do tego systemu i małej własności. Wprawdzie ustawa wodna z dnia 14. marca 1875 r. regulując stosunki własności i używania wód, dozwala pewnych przymusowych robót na polach sąsiednich, jednak co do korzystania z dobrodziejstwa projektowanej ustawy, wypadałoby już teraz własności małej dać odpowiednie pomieszczenie.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

X.

Kiedy Jan, idąc za radą matki, zdecydował się wyjść na kolej na przyjęcie Nadermanów, nie przypuszczał nigdy, że tak trudno będzie mu przebyć tych kilka godzin w towarzystwie Julii. Teraz dopiero przekonał się, jak męczącą przyjął rolę na siebie. Nie mógł rozmawiać z nią, jakby z osobą całkiem obojętną, z którą zwykła łączyłaby go znajomość, a nie chciał być takim, jak dawniej: bał się nawet potrącić w rozmowie o coś takiego, coby przypominać im mogło przeszłość, o której chciał teraz całkiem zapomnieć. W takich warunkach rozmowa była bardzo trudną. W liczniejszem towarzystwie szło jeszcze jako tako, rozmowa była ogólną, o wszystkiem i wszyscy brali w niej udział. Ale gdy starzy Nadermanowie przeszli do drugiego pokoju, gdzie właśnie składano kufry i tłomoki, a Leon pod jakimś pozorem wysunął się na miasto i młodzi zostali sam na sam ze sobą, położenie Jana stało się wielce kłopotliwe. Czas jakiś milczeli oboje. Julia czekała co jej powie, była pewną, że jej ma wiele do powiedzenia, spodziewała się, że korzystając z tej chwili samotności, nie krępowany niczyją obecnością, będzie jej mówił o swojej tęsknocie za nią, o miłości, że może będzie jej robił jakie wyrzuty. Tymczasem ku wielkiemu jej zdziwieniu, Jan zaczął całkiem chłodno i spokojnie zapytywać ją o niektóre wspólne ich znajomości w Wiedniu, potem pytał ją jaki lekarz radził jej krajowe wody, jak długo tam myślą zabawić itd. Julia z początku odpowiadała mu na te pytania uważając je za wstęp do serdeczniejszych wynurzeń, gdy jednak spostrzegła, że wyszukuje coraz to obojętniejsze przedmioty, ograniczała się na krótkich odpowiedziach, których ton zdradzał wewnętrzną irytacyą i niecierpliwość, aż w końcu nie mogąc zapanować nad sobą i nie pozwalając mu kończyć jakiegoś pytania, które jej właśnie zadawał, odezwała się żywo z wyrzutem:

— Dlaczego męczysz mnie pan i nudzisz takiemi pytaniami? Dlaczego bawisz się pan w naiwnego i udajesz, że nie wiesz dlaczego wybrałam właśnie te kąpiele a nie inne? Może pan chcesz, abym panu to sama powiedziała? Jeżeli o to panu idzie, to nie będę się zapierać. Tak, dowiedz się pan, że zrobiłam to dla ciebie. Pięknie mi się pan za to odpłacasz.

Mówiła głosem zadyszanym, na pół z płaczem.

Jan nie wiedział co odpowiedzieć na to wyraźne oświadczenie uczuć. Nigdy przedtem Julia nie była z nim tak szczerą. Owszem, kiedy on dawał jej wyraźne dowody swej miłości, zdawała się nie rozumieć go; gdy tymczasem teraz sama, z taką otwartością odkryła się przed nim. Nie przypuszczał w tem wyznaniu nic więcej nad chwilowy kaprys rozpieszczonej jedynaczki; której zachciało się nagle jego serca jak zabawki, a zachciało się dlatego właśnie, że trudność dostania była większą; znając Julię, wiedział dobrze, że to nie serce mówiło przez nią, ale podrażniona jego obojętnością miłość własna, chęć zaspokojenia swojej woli; a jednak nie miał odwagi odpowiedzieć jej na te słowa tak, aby jej całkiem odebrać nadzieję, a przynajmniej szukał słów takich, w którychby jej jak w cukierku podać tę przykrą wiadomość.

Na szczęście wejście ojca, przerwało tę drażliwą dla niego rozmowę. Bankier zdawał się być czemś zafrasowany. Twarz jego zwykle spokojna była, w tej chwili trochę wzruszona.

— A to wcale nieprzyjemna niespodzianka — rzekł wchodząc do pokoju. — Czy wiecie co się stało? Okradziono nas. Wszystkie kosztowności, pieniądze, jakie mieliśmy w kufrach zginęły.

— Gdzie? kiedy? — spytał Jan — wszak dopiero co rzeczy przywieziono z kolei.

— To też to jest niewytłumaczone. Kufry były zamknięte, zamki są nienaruszone, a rzeczy zginęły. Złodziej widocznie miał dosyć czasu do wyboru, bo wziął tylko najkosztowniejsze rzeczy, reszta, jak suknie kobiece, bieliznę, zostawił. A chodźcie zobaczyć.

Przeszli do drugiego pokoju, gdzie bankierowa z rozpaczy łamała ręce i co chwila wąchała flakonik z kolońską wodą, aby nie zemdleć ze wzruszenia.

— A więc i moich pereł nie ma? — spytała Julia.

— Nic nie ma, wszystko zabrano, zrabowano — desperowała matka.

— Niczego mi tak nie żal, jak moich kolczyków. Pan je znasz dobrze, panie Janie, nawet panu podobały się bardzo.

— Więc kradzież prawdopodobnie dokonaną była na kolei — odezwał się Jan, zmięszany także nie pomału tym wypadkiem.

— Tak się zdaje.

— Należy więc przedewszystkiem szukać tam wyjaśnienia tego niewytłómaczonego faktu.

— Właśnie dałem już znać o tem naczelnikowi stacyi, jak również zawiadomiłem sąd i policyą.

Na to nadszedł Leon, który na mieście dowiedział się o wszystkiem. Wiadomość bowiem o tej kradzieży z niesłychaną szybkością się rozeszła i całe miasto było nią poruszone. Niebawem nadbiegł naczelnik stacyi, komisarz policyi, kilku żandarmów i urzędnik sądowy. Rozpoczęło się badanie, spisano protokół, i usiłowano znaleść jaką taką poszlakę; ale wszystkie dochodzenia nie doprowadzały do wytłómaczenia tego zagadkowego wypadku. Policya była niezmiernie zaaferowana tą kradzieżą, tak ze względu na wartość skradzionych rzeczy, jak i osobę pokrzywdzonego, który był znaną figurą w finansowym świecie.

— Czy panu nie wiadomo — spytał urzędnik sądowy — czy oprócz pańskich rzeczy nie skradziono jeszcze komu?

— Nie wiem o tem — odrzekł bankier.

— Razem z nami — dodał Leon — jechał jakiś Węgier.

— I miał kufer znacznej objętości — objaśniał Jan — widziałem właśnie, jak go wynoszono z kolei.

— Czy nie wiedzą panowie, gdzie stanął?

— Nie wiemy. Prawdopodobnie pojechał dalej.

— I jeżeli mu także co skradziono, to nie spostrzeże się zapewne aż w domu.

— Panowie nie wiedzą nazwiska tego Węgra? — spytał znowu urzędnik.

— Nie wiemy.

— Pan Adolf wie — odezwała się żywo Julia i nagle urwała spojrzawszy na Jana. Niechcąco zdradziła się przed nim, że Adolf z nimi jechał, a nie chciała aby on wiedział o tem.

— Cóż to za pan Adolf?

— Nasz znajomy — rzekł bankier poważnie — będzie można napisać do niego o adres tego Węgra, jeżeli panom to potrzebne.

Wysłano niezwłocznie telegram do Adolfa, urzędnik kolei telegrafował także do głównego zarządu o tym wypadku, a organa policyjne we wszystkich miastach i miasteczkach, dostały polecenie śledzenia skradzionych przedmiotów.

Rozumie się, że wypadek ten zatrzymał bankiera na dłużej w tem miejscu. Obecność jego była tu konieczną dla dania potrzebnych wyjaśnień sądowi.

Jan cały ten wieczór przesiedział w hotelu, rozmowa toczyła się wyłącznie o owym wypadku. Każdy robił najrozmaitsze domysły, tłomaczył według swojego zapatrywania; ale wszystkie domysły rozbijały się o to, którędy złodziej mógł dostać się do wagonu, przy którym znajdował się konduktor. Nadto wagon ten według objaśnienia urzędnika kolei, zawierał pakunki, które dopiero na ostatnich stacyach miały być wydawane i dla tego był nie tylko zamknięty, ale i zaplombowany. Plomba była nietknięta, bo sam był przy otwarciu wagonu. Bankier tracił prawie nadzieję odkrycia sprawcy. Julii szło głównie o to, aby się jej kolczyki przynajmniej i perły odnaleźć mogły. Bankierowa co chwila dostawała mdłości na wspomnienie kosztowności swoich, które także uważała za stracone. Następny dzień Jan przepędził także w towarzystwie Nadermanów, wymagał to dalszy tok śledztwa, przy którem obecność jego była potrzebną. Zaledwie koło wieczora dopiero miał czas wpaść na chwilę do Amelii, aby jej wytłomaczyć powód swojej nieobecności i dowiedzieć się o jej zdrowiu, bo aptekarz zaniepokoił go mówiąc, że stara żydówka przychodziła znowu po morfinę.

To też zdziwił się nie mało, gdy zastał ją zupełnie zdrową, wybierała się właśnie do jego matki. Zdziwił się jeszcze więcej, gdy Amelia powiedziała mu, że nigdy w życiu nie używała morfiny.

— Dla kogoż więc Sura mogła brać to lekarstwo? A wiem dobrze, iż nieraz je już brała.

— Może dla siebie, albo dla ojca.

— Czy ojciec twój jest tutaj?

— Był, ale już wyjechał. Przyjechał w nocy, nie wiem nawet kiedy, bo spałam tak

mocno, że nie słyszałam. Dopiero nad ranem dowiedziałam się o tem. Chciałam go zatrzymać, aby był u was i poznał ciebie; ale ważne jakieś interesa nie pozwoliły mu zostać. Obiecał mi, że tu będzie znowu za parę tygodni. No, a ci twoi goście wyjechali także i nie bardzo ci smutno po nich?

— Są jeszcze.

— Są? — spytała żywo i niespokojnie spojrzała na niego. — Dlaczego zostali?

— Przykry wypadek ich zasmucił. — Tu Jan opowiedział Amelii o nieszczęściu, jakie spotkało rodzinę bankiera. Zasmuciła się tem bardzo. Nie tylko szło jej o stratę, jaką ponieśli, ale i o tę stratę, jaką będzie musiała sama ponieść będąc pozbawioną Jana na czas dłuższy. Był on dla niej skarbem kosztowniejszym, niż wszystkie bogactwa bankiera i bała się o jego stratę.

— A więc moje niepokoje nie skończyły się jeszcze — mówiła ze smutkiem w głosie. — O gdybyś ty wiedział, co ja wycierpiałam przez te kilkanaście godzin.

— Więc tak mało mi wierzysz? — spytał tuląc ją do siebie.

— O, ja wierzę ci, i kiedy jestem przy tobie czuję się szczęśliwą, spokojną; ale kiedy sama tu tak siedzę, jakieś okropne przeczucia trwożą mnie. Przychodzi mi wtedy do głowy, że cię więcej nie zobaczę, że mi cię zabiorą gdzieś daleko i koniecznie mi się zdaje, że przyjazd tych... tych twoich gości, jakieś nieszczęście sprowadzi na nas. Cóż ja mogę za to, że mi takie myśli przychodzą do głowy.

— To nie siedź w domu, idź do matki mojej, tam się rozerwiesz trochę. Będziecie rozmawiać o naszej wspólnej przyszłości, układać plany.

— Właśnie wybierałam się do was. Matka twoja umie pocieszać i dodawać odwagi.

— Więc chodźmy do niej.

I poszli do staruszki, która ich przyjęła z wesołym uśmiechem, od którego rozpogodziły się ich myśli.

Cały ten wieczór Jan pozostał już w towarzystwie matki i Amelii i tak mu tu było dobrze, zacisznie, spokojnie, że uczuł niechęć do Nadermanów, iż swoim pobytem w mieście ukradną mu tyle chwil przyjemnych. Postanawiał sobie w duszy bywać u nich o tyle tylko, o ile konieczność i względy gościnności wymagać będą. I rzeczywiście następnego dnia bawił tam zaledwie kilka godzin i pomimo próśb Julii, pożegnał się wcześnie. Ale Leon wyszedł z nim także, przyczepił się do jego towarzystwa, bo się nudził ogromnie w tej mieścinie, gdzie nie było ani kawiarni, ani teatrów. Jedyną jego rozrywką mogło być towarzystwo Jana, i dla tego nie opuszczał go przez cały dzień. Grzeczność nakazywała Janowi zaprosić go na papierosy i pogawędkę do siebie. Leonowi bardzo to było na rękę, że miał gdzie zabić czas i stał się odtąd częstym gościem. Był to dla Jana bardzo męczący gość, bo przez niego rzadko bardzo mógł widywać Amelią. Można było wprawdzie zaradzić temu, gdyby był wprowadził Leona w swoje kółko familijne, ale nie chciał tego z umysłu. Zdawało mu się, że ubliżyłby tem miłości swojej, gdyby bliskiego krewnego Julii zapoznał z tajemnicami swego serca. Znał złośliwy dowcip Leona, który nie oszczędzał nikogo i nie mógł pozwolić na to, aby Amelię narażać na złośliwe jakieś uwagi garbuska. Była ona dla niego rodzajem świętości, którą chronił przed oczami profanów.

Niepodobieństwem jednak było, aby Leon bywając tak często u Jana, nie spotkał kiedy Amelii. Stało się to raz właśnie kiedy wychodzili z domu do Nadermanów. Na schodach spotkali Amelią idącą na górę. Jan nie przemówił do niej ani słowa, ukłonił się tylko; ale sprytny garbusek z tego ukłonu poufałego, z zarumienionej twarzy panny, ze spojrzeń, jakie zamienili ze sobą, domyślił się wszystkiego i gdy był już na ulicy, odezwał się niby do siebie:

— Teraz rozumiem, dlaczego czary rusałki nie skutkują, mamy talizman.

Jan udał, że nie rozumie tej alluzyi i nic się nie odezwał; niekontent był jednak, że Leon podpatruje tajemnice jego serca i myślał nad tem, jakby można pozbyć się delikatnie tak ciekawego towarzysza a przynajmniej nie przyjmować go w domu. Przypadek pomógł mu w tym względzie. Leon kupując jakieś lekarstwo w aptece poznał się z aptekarzem i dowiedział się, że ten nie źle gra w szachy. Była to nie mała asekuracya przeciw nudom, i Jan przez to został oswobodzony od jego ciągłego towarzystwa. Mógł teraz więcej czasu poświęcić matce, Amelii. Potrzebował być z niemi częściej dla własnego spokoju, dla odzyskania równowagi, którą tracił w towarzystwie Julii. Bo jakkolwiek serce jego obojętne było całkiem dla niej, to jednak kosztowało go bardzo wiele zachować zimną krew i spokój w obec tych wyraźnych objawów skłonności, jakie mu okazywała była jedna z tych natur kapryśnych i despotycznych, które umieją na zimno i bez wyrzutów sumienia dręczyć ofiary uległe ich woli; ale miękną w obec woli silniejszej, a Jan właśnie zyskał nad nią przewagę chłodem i obojętnością. Rozpacz jej z tego powodu miała także pozory prawdziwej miłości, że byłaby przysięgła, iż jest w nim na śmierć zakochaną. Jan więc ciężkie przechodzić musiał próby, gdy mu przyszło udawać, że nie rozumie jej spojrzeń, jej słów, gdy niektóre drażliwe jej pytania zbywać musiał niegrzecznem milczeniem lub obracać w żart. Jakkolwiek bądź, była to przecież istota, którą on kochał kiedyś, a przynajmniej tak mu się zdawało, na której skinienie był dawniej niewolniczo posłuszny, a przy tem była młoda i piękna, powaby jej ciała, elegancya, zbytek jakim była otoczona, zalotność, którą drażniła nerwy jego, wszystko to działało jak szampan, odurzało zmysły, upajało. Dopiero widok Amelii trzeźwił go z tego upojenia, ona była dla niego rodzajem lekarstwa przeciw niebezpiecznej truciźnie. Amelia instynktem odgadywała niebezpieczeństwo grożące Janowi, a bardziej jeszcze jej samej i niecierpliwie oczekiwała chwili wyjazdu Nadermanów. Jan także bardzo życzył sobie tego, bliskość Julii źle oddziaływa na jego zdrowie moralne. (C. d. n.)

EMILIO CASTELAR.

(Dokończenie).

Czy zrozumieliście teraz ową dziwną pizańskiego cmentarza tolerancyę? Patrząc na krużganki i na malowidła, to tak, jakby się spoglądało na dwie onego czasu hemisfery. Inna to myśl wysklepiła te łuki a inna wcale postawiła mury. Tam gotyk, tu daleka renesansu zapowiedź. Ktokolwiek zechce kiedy pisać dzieje sztuki, uchylić będzie musiał czoła przed tym cmentarzem, bo to jedna z jej kolebek; a niepodobna przestąpić jego progu niewywołując z grobu czasów jego budowy. A kto bądź czasy te wywołać zechce w pamięci, niepodobna aby mu nie nasunęło się na myśl imię Mikołaja z Pizy. Zrodzon w epoce mistycyzmu, mąż ten umiera w epoce nowożytnych dążeń. Między kolebką jego i grobem dwa światy. Siedmdziesiąt i jeden lat życia tego człowieka a duch ludzki w ciągu tego czasu w nową wstąpił kwadrę. Ale on, on odczuł tę zmianę — i jakby zapowiedział upadek mistycyzmu. Rodzice jego i mistrze kazali mu zginać kolana i składać ręce do modlitwy przed bizantyńskimi posągami, przygarbionymi od postrachów sądu ostatecznego, ale on później uchylał już czoła przed greckimi — jaśniejącymi pięknością i szlachetną hardością onej cywilizacyi na wskróś ludzkiej, jakby je wolność potężną wykarmiła piersią. Mikołaj przyszedł na świat w siódmym roku trzynastego stulecia a umarł w siedmdziesiątym ósmym. Gdybym tę epokę chciał w jednej symbolicznie przedstawić postaci, dość by mi było wybrać który z tych posągów: widziano by jak myśl mistyczna błąka się jeszcze na ich czołach ale jak ciała w greckie rozwijają się kształty, niby młoda latorośl świeżą napojona rosą, w nierozwite strojąca się pąki. Jan z Pizy, architekt cmentarza, również rzeźbiarz, Mikołaja patrzał oczyma. Porównaj dzieła tych dwóch genialnych artystów z olbrzymiemi mozaikami i dziwacznemi malowidłami tuż obok cmentarza w katedrze, bądź to sprowadzonemi wprost z Bizancyum, bądź przez bizantyńskich robionemi mistrzów. Najświętsze panny i święci i anioły bizantyńskie pełne wyrazu jakiejś wzniosłej grozy i przerażenia, ale zimne i sztywne jak śmierć; najświętsze panny, święci, posągi Mikołaja i Jana z Pizy, greckiej zapragnęły już pogody i doskonałości. To świat przyrody odsłania się na tchnienie nowych ducha prądów. To piękność człowieka, która świętej tuwalni monastyczny urok zostawia ponurym cieniom klasztoru. Te głazy, to trofea duchowych walk, a raczej samego ducha zwycięzkie znaki.

Podczas gdy Mikołaj i Jan ciosali głazy rzeźbiąc posągi i budując cmentarze, w tym samym czasie młody pastuszek, pilnując owiec, rysował sobie na błocie, prochu lub piasku szczególniejsze figury. Pastuszek ten toskański miał się kiedyś stać ojcem malarstwa — był to Giotto. Chwałą jego brzmiał cały wiek trzynasty. Niepospolity ten człowiek tem jest dla malarstwa, czem Mikołaj z Pizy dla rzeźby. Geniusz jego zawiera już w sobie jakby pierwsze zarysy geniuszu Rafaela. Sztywne jeszcze ramiona jego świętych, kątowate i ostrokończate ich postacie, nogi niekształtne, tak jakby im trudno było utrzymać się na ziemi; ale głowy ich pełne dobroci wyrazu, oblicze ich pełne tego wdzięku, którego matką pogoda umysłu a rodzoną siostrą nadzieja. Widocznie, jeżli tułowia rysowane przez Giotta są jeszcze własnością ziemi jego czasów, niebios nowej ery sięgają one już swemi głowy. Twarze te zdaje się wietrzyk muskać poranny, zdają się one tonąć w blaskach zorzy. Rzucając się na łono przyrody, Giotto źródło nieśmiertelnego znalazł w niej natchnienia. Jego pęzel — to nowe

*

ludzkiego ducha okwitnienie. Przypatrzmy się jego Jobowi na tej ścianie po lewej ręce. Zaciera się on jak pamięć owych czasów, niknie jak owa wiara, która go ożywiała: przegląda jakby z daleka, gdzieś, z dalekiego niby obłoku; i wpływ powietrza i wilgoć niszczą go coraz bardziej a zbrzydł już i poplamił się późniejszem naprawianiem. Podobny do tych fantastycznych postaci, w które się układają chmury, słońca ozłocone zachodem. Ten Job, to pokutnik, który się na boże uskarza wyroki a nie śmie Bogu złorzeczyć; do koła przyjaciele jego niewierni, a on sam pomiędzy czartem, strasznym, dantejskim, a dobrym swoim aniołem, miłościwym i pięknym, który w świetlanej już unosi się sferze. Niewiem czemu, ale ten fresk wyszarzały wydał mi się symbolicznym wizerunkiem onego wieku, nieświadomie i bezwłasnowolnie nakreślonym przez Giotta lub przez kogo z jego współczesnych *), wieku niesłychanego przełomu, wieku przesilenia w owej walce śmiertelnej demona-feudalizmu pasującego się o życie z aniołem odrodzenia, który się na ówczas z pieluch wyłaniał.

Nie wiem czemu, ala ten cmentarz w mych oczach wydaje się być cmentarzem średnich wieków. Jeden z uczniów Fra Angelika, tego mistyka, w którego źrenicy przeglądali się jak w zwierciedle aniołowie i cherubiny, który tylko płacząc i modląc się zdolny był stworzyć wizerunek Chrystusa lub Panny najświętszej, tego mnicha godnego uwielbienia, który na klęczkach malował swoje obrazy — jeden z jego uczniów olbrzymiemi freskami zdobiąc cały prawie zachodni krużganek cmentarny, nakreślił tam postać pełną wdzięku, postać, która dopiero w czasach bardziej zmysłowych wykwitnąć mogła, a która wyobraża nieskończoną ciekawość w odsłanianiu tajników natury: Noe—obnażony i pijany leży na ziemi; — młode dziewczę zakrywa sobie twarz rękoma, ale szparami na wpół rozwartych palców ciekawie nagim przygląda się kształtom. Fra Angelico byłby rzucił klątwę na swego ucznia Gazzoli'ego za to malowidło. Ale to wiek nowy już nastał, wiek *Odrodzenia*, odrodzenia przyrody, dotąd obciążanej klątwą; wiek rozbudzenia uspionych dotąd zmysłów; wiek, w którym Faun znowu na łąkach wyciskać będzie dwoistego kopyta ślady, znowu bluszczem wieńczyć swe rogi; wiek, w którym na łoże różami zasłane nimfy poskoczą nago w wesołą orgię wszechbytu; wiek, w którym ruczaje nowych sielanek zanucą hymn; wiek, w którym na łonie pryapicznych rozkosznego użycia szałów, wśród grona przebudzonych ze snu wszystkich starożytnych bóstw, nowy się zjawi Prometeusz, wolny od więzów, który przemierzy oceany i odkryje świat nowy, i ziemię popchnie w ruch i zmusi ją aby w niezmierzonej toczyła się przestrzeni, który jakby łowiec samotrzaskiem ptaszęta, teleskopem gwiazdy łapać będzie i zniewoli je aby mu się zważyć dały na dłoni i aby mu wyspowiadały niebios tajemnice.

Tak jest, ten cmentarz — to średnich wieków testament. Zdaje mi się jakbym czytał w tych murach ostatnie pożegnania słowo tych czasów, które poprzedziły nas — jak chaos światło poprzedza. W całym piśmienniczym świecie wieki średnie konając zawodzą śmiertelny *Taniec szkieletów*. I jakżeby mogło niedostawać tego pełnego melancholii poematu pizańskiemu cmentarzysku, nieśmiertelnej dziedzinie jego malowideł z XIVgo i XVgo stulecia. Orcagna, wielki Orcagna wymalował tam ten taniec. Przypatrz się i przywołaj na pamięć inne dopiero-co widziane pomniki sztuki, a stanie ci przed oczyma cały sztuki rodowód. Grobowiec, w którym spoczywa księżniczka Beatryks, to nie ledwie kolebka nowoczesnej myśli. Na nim to kształcił się Mikołaj z Pizy, a syn jego Jan, architekt i rzeźbiarz cmentarza kształcił się na arcydziełach ojca, tak jak później na dziełach Jana Andrzej Pizańczyk, na dziełach Andrzeja Orcagna. I przyjdzie po Orcagni'm Ghiberti i wyrzeźbi wrota florenckiej chrzcielnicy, tę tryumfalną bramę czasu odrodzenia, którą Michał-Anioł zwał wrotami raju. Na tych wrotach arcymistrze uczyć się będą rysunku. I po tych długich a pełnych chwały dniach stworzenia powstanie sztuka, taką ród swój świetny wiodąc prozapią: Mozaiści weneccy i pizańscy, Cimabuë, Mikołaj z Pizy, Giotto, Jan Pizańczyk, Orcagna, Ghiberti, Massacio, Leonardo da Vinci, Michał-Anioł, Rafael. Duchu ludzki, nieśmiertelny! nigdy tak wielkim nie byłeś jak w onej chwili odnalezienia kształtów ludzkich plastycznej piękności, po nieskończonych trudach, po trzech wiekach umartwień i pokuty.

Fresk Orcagni — to obraz śmierci. Rysunek tam niepoprawny jeszcze, figury postaci jeszcze nie proporcyonalne, brak tam jeszcze perspektywy: lecz twarze wyraz mają przecudownie piękny; przegląda w nich dusza, promienistą myślą świecąc w oczach i jaśniejąc na czole. Po lewej, orszak konny mężczyzn i kobiet strojny i świetny, zatrzymał się na widok trzech trupów królewskich: jeden z nich świeżo zmarły, obrzękły — drugi przegniły już na wpół, robactwem stoczony — a trzeci, to już z ciała odarty kościotrup. Niepodobna wyrazić tego uczucia mrowia jakie nas przebiega na widok tych trzech łupów śmierci w pośrodku tego grona rycerzy bogato strojnych w aksamit i gronostaj, tych dam w zbytkownych fryzurach, tych przyborów myśliwskich, tych psów i sokołów, tych oznak i godeł życia upływającego na walce i uciechach. W samym środku obrazu starcy, chorzy, umierający, wzywają śmierci głośnem wołaniem, wzywają ją słowy, które wypisał malarz dla dobitniejszego ich zaklęć wyrazu: *O śmierci! medykamencie wszelkiego cierpienia!* Ale śmierć ich nie słucha; oddala się ona od tych, którzy jej pragną, aby tych ugodzić, którzy zapominają o niej; dąży ona do uroczego gaju, gdzie w cieniu dwoje spoczęło kochanków, dwoje patrzących na siebie w wzajemnym zachwycie, którzy przy dźwięku trubadurowej gęśli spiewają słodkie miłości rozkosze, wśród kwiatów i małych amorków. Tam dalej, na wyniosłej górze modlą się za wszystkich ludzi pokutnicy. Ale w głębi inny znów widok: króle, szlachta, paziowie biskupi — wszyscy konający, zmięszani w przerażenia pełnym zamęcie, a dusze ich w lot porywają to anioły, to znowu czarty o straszliwej postaci i nietoperzych skrzydłach. Spostrzeżesz tu, że wieki mnichowstwa dobiegały do kresu: z dusz bowiem najzażarciej porywanych przez czartów, najwięcej dusz mniszych. Obok tego fresku, uzupełniając go niejako, znajdują się dwa drugie: Sąd ostateczny i piekło.

Po zwiedzeniu nawet sykstyńskiej kaplicy wywrze tu jeszcze wrażenie ten gniew Jezusowy, ten tkliwy wyraz wstawiającej się Maryi, boleść odepchniętych i zachwycenie błogosławionych; ta dręcząca niepewność Salomona, który powstając z grobu, wiekowy proch strząsa z powiek a nie wie, czy niebieskie czekają go pokoje, czy otchłań piekielna; ten anioł-mściciel, który pochwyciwszy za włosy mnicha usiłującego wkraść się do przybytku zbawionych, w głąb wiekuistych wtrąca go ciemności — i ów anioł miłosierdzia, który z pomiędzy potępionych na swych ramionach unosi ku niebu światowego młodzieńca; ta niewiasta łamiąca ręce rozpacznie nad brzegiem niezgłębionej przepaści — i ten starzec rzucający się do kolan Jezusa, jakoby chciał przypomnieniem własnych zasług ubłagać boże zmiłowanie; ten stróż-anioł w pośrodku obrazu, smutny, przygnębiony boleścią bez granic, głębokiem spojrzeniem wielkich swoich źrenic, brzemiennych myśli nawalnicą, wpatrzony w bezmierną wszechzłości kataraktę, spadającą w głąb piekieł, w to morze płynnego ołowiu — wpatrzony w straszliwy upadek dusz, które on na ziemi od występku napróżno uchronić się silił, a które w ostateczną sądu godzinę błagalną modlitwą przed sprawiedliwym gniewem bożym ocalić pragnął napróżno: — Straszna to zaiste epopeja okropności i spustoszenia — na tych grobowcach, w tem śmierci schronisku przejmująca zaprawdę grozą dnia ostatecznego.

A przecież wszystkich tych obrazów postacie świadczą ci dowodnie, że w chwili ich tworzenia przeminęły już czasy mistyczne a czasy odrodzenia nie nadeszły jeszcze. W żadnym z tych obrazów, w żadnej z niezliczonych figur, umieszczonych na malowidłach tych murów, nie dopatrzysz się ani idealizmu Fra Angelika ani naturalizmu Buonarotti'ego. Dzieje ludzkie — to wieczna walka myśli z rzeczywistością. W tych obrazach widzimy ulatniającą się ideę a nie zapanowała jeszcze natura. Duch mistyczny przygasa, ale nie zajęło jego miejsca uwielbienie ludzkiego organizmu, które artystów czasu odrodzenia tak wielkimi uczyniło malarzami i tak wielkimi rzeźbiarzami. Michał-Anioł z zajadłością zgłodniałej hieny rzucał się na trupa, uczył się go i wracał doń póty, póki każdej jego kosteczki nie wyrzeźbił w swym duchu. Studyum nagiego ciała najulubieńszem było dla niego zajęciem, jakby o tem marzył, aby przywrócić człowiekowi utraconą raju niewinność. Ale anatomia była zakazaną przez ciąg wieków średnich. Biednym tym artystom XIVgo i XVgo wieku wzbronionem było poznać ludzkie ciało. Postacie ich obrazów spętane w szatach jak w worku lub w czechle. Zbyt żywo człowiek tej epoki ma jeszcze swój upadek w pamięci, strachem go jakimś przejmuje widok własnego ciała — jakby grzechu cień nieodstępny. Ale w tej ciężkiej ducha jego niemocy, odnaleść jednak nie trudno tęskne oczekiwanie światła nowej idei. Postacie pizańskiego cmentarza, to dzieci mroku; niepewne siebie, niewyraźne, jawią się na progu dwóch epok. W gruncie rzeczy zresztą, rotrząsając dzieje ludzkie będziemy musieli przyznać, że taki sam jest los nas wszystkich. Wszakże wszyscy skazani na, to aby zagrześć w ziemi połowę idei, które w nich wpojono, połowę najdroższych żywota pragnień; wszak wszycy porwani prądem wypadków nie mającym końca ni kresu a nie świadomi dokąd ich niesie prąd; wszyscy wprzągnięci do pracy odnowy, nie wiedząc czemu i na co; wszyscy porzucają po drogach rozstajnych niewinność dziecięcą, młodzieńcze zapały i z mlekiem wyssaną wiarę; wszyscy upadają wreszcie zmordowani na swych własnych mrzonek rumowisku, aby ich potomność odsunęła nogą — i rzuciła do fosy — i wiodła dalej to dzieło powtórzeń bez końca tych samych zawsze herkulesowych prac, wznowioną reprezentacyą tej samej zawsze bez rozwiązania tragedyi.

Czy sądzicie, że rozwiązaniem jest śmierć?— Co do mnie, jam tak nigdy nie sądził. Gdyby

---

*) Francesco da Volterra. (Prz. tłóm.)

tak było, to świat byłby chyba stworzony dla dzieła zniszczenia. Bóg byłby wtedy dziecięciem budującem światy jak karciane pałace dla przyjemności walenia ich. Roślina ziemię pożera, wół i owca roślinę, my wołu i owcę a niewidzialne istoty, zwane śmiercią czy nicością, pożerają nas samych. Na szczeblach życia jedne stworzenia służą na to jedynie aby je drugie pożarły. Wszechświat jest wtedy niezmiernym tylko polipem o niezmiernym żołądku — a jeżli porównanie to niedość wam się wydaje klasycznem: wszechświat to katafalk, nad którym płonie słońce jak pochodnia a jako posąg niespożyty wznosi się nad nim fatalność. Ci rodzą się cierpliwi — bo limfy mają dostatek, ci bohaterami bo mają dużo krwi, ci myślicielami bo żółci mają obficie, owi zaś — to poeci, bo mają wielką nerwów drażliwość; ale wszyscy oni umierają na własnych przymiotów chorobę, a każdy żyje tak długo tylko, pokąd nie zepsują się w nim trzewia i serce i mózg i szpik kości pacierzowej — a gdy to w końcu nastąpi, to człowiek legnie na łożu nicości. To cośmy zwać przywykli cnotą lub zbrodnią, to tylko organizmów różnych różne skłonności; to co wiarą zwiemy, to jest tylko brakiem kilku krwi kropel w naszych żyłach, albo zbyteczną w wątrobie wilgocią, albo odrobiną fosforu w kościach; to co nieśmiertelnością zwiemy — to złudzeniem: nic nie masz rzeczywistego, nic pozytywnego na świecie — tylko sama śmierć, a historya ludzkiego rodu to tylko długa cieniów procesya, przemykających nietoperzym lotem pomiędzy dniem i nocą, aby po kolei wszystkie wpadały w tę ciemną otchłań, nieokreśloną, niezgłębioną, która zwie się nicością, a która jest jedyną rzeczywistą wszechświata atmosferą.

O nie, nie! jam w to niezdolny uwierzyć. Niedole człowiecze nie zaćmią nigdy boskich prawd w mej duszy. Tak jak dobro od złego odróżniam, tak odróżniam śmierć od nieśmiertelności. Wierzę w Boga i w oglądanie Boga w lepszym gdzieś świecie. Zostawię tu ciało moje na ziemi jak ciężką nużącą zbroję i wstępować będę bez końca w górę na skąpane w wieczystem świetle w nieborosłe wyżyny. Śmierć jest prawdą, ale prawdą jest i dusza; — wbrew tej rzeczywistości, która mi na barki rzuca płaszcz z ołowiu, ja mam myśl skrzydlatą; wbrew fatalizmowi, który mnie do swoich chce przykuć łańcuchów, mam potęgę wolności. Historya — to zmartwychwstawanie. Barbarzyńcy zasypali gruzem starożytne posągi greckie i oto stoją one teraz w całej życia potędze na cmentarzysku, pocałunkiem swych zimnych marmurowych ust zapładniając nieśmiertelnych artystów pokolenia. Italia martwą była, martwą jako trup Julietty, — i każde pokolenie rzucało na trupa garść ziemi i wplatało kwiatek do grobowego jej wieńca — i oto zmartwychwstała Italia. *Dies irae* nucą dziś tyrani na tych łanach Polski po których rozwleczono rozdarte kawały jej ciała, ale obaczym, że ludzkość przyjdzie pozbierać kiedyś te stalowym dziobem sępów z nad Newy z żywego ciała odarte kości — i Polska zmartwychpowstanie na swych dawnych ołtarzach, jako posąg wiary krzyż obejmująca w ramionach. Zawszem ja, zawsze czuł nieśmiertelność na cmentarzach, ale silniej jeszcze ją czuję na tym cmentarzu pizańskim, gdzie wszystko życia tchnie pełnią, na tym cmentarzu zaludnionym takim tłumem nieśmiertelnych istot, gdzie natchnienie żywą sączy się strugą i nieśmiertelnością nas darzy — podobnie do pnia stuletniego dębu, który sączy się miodem gdy go pszczoły obiorą na mieszkanie.

Zwolna zapadała noc nad nami Przerwał grobarz swą pracę, ustały uderzenia motyki. Zbliżył się strażnik prosząc abym cmentarz opuścił, ale uzyskałem pozwolenie pozostania tam jeszcze przez godzinę wśród nocy i cieniów. Jam się spodziewał, że zdołam zatonąć myślą w tym smutku nicestwa i uprzedzając czasy, zapomnieć o sobie samym w tym przybytku ciszy, gdzie zapomnianych tyle spi pokoleń. I stałem tak, oparty o grobowiec, z czołem przechylonem na marmurową arkadę, z oczyma utkwionemi w obrazie śmierci i w sądu ostatecznego zawierusze, w ostatnich zmierzchu połyskującą odblaskach — i czekałem na te smutków coraz posępniejsze cienie, które mrok nocny miał mi przynieść z sobą. Napróżno. Świeży wietrzyk majowy orzeźwił mnie z ponurych marzeń; kwiaty podniosły ociężałe od skwaru słonecznego kielichy; silna, upajająca woń tchnieniem życia rozlała się w powietrzu; świętojańskie robaczki jak błędne gwiazdki poczęły się przemykać w klasztornych cieniach rzędami grobowców; księżyc od krańca widnokręgu wznosił się coraz wyżej w eteryczne przestworze, srebrzystą gazą swych promieni wieńcząc nadgrobnych posągów czoła — a ukryty w gęstwinie czarnych cyprysów słowik, zanucił miłosną swą piosnkę, niby serenadę umarłym a modlitwę niebu.

HISTORYA

3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO

z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Sądzić należało, iż na górze Mitornie zajmą Moskale obronną pozycyą i że z tej pozycyi nie łatwo będzie ich spędzić. Rzeczywiście na tej górze się zatrzymali i na szosie ustawili działa. Kazano kawaleryi na górę przypuścić szarżę, na co przeznaczono 3ci pułk ułanów, a tymczasem kolumny naszego pułku na prawo i lewo szosy uformowane, miały bagnetem poprzeć zadanie 3. ułanów. Szarżę pułk ten wykonał tym sposobem, iż rowami po obu bokach szose pojedyńcze szeregi popędziły na górę. I to było dostateczne do zdobycia pozycyi. Kilka szwadronów starej i młodej konnicy wraz z konną bateryą dział pognały za umykającym nieprzyjacielem, a za tą konnicą 3ci pułk piech. lin.

Tak tedy szczęśliwie Moskale uciekali aż do Dębe wielkiego, gdzie na nasze spotkanie, a złączenie z uciekającym rozstawił się nowy korpus nieprzyjacielski i rzeczywiście bardzo silną zajął pozycyę. Opisać ją muszę: po pod wsią Dębe wielkie ciągnie się pas błota w prawo i w lewo nieskończenie daleko, środkiem sączy się struga. Za tym błotem stanęli Moskale, zasłonięci temi błotami, jakie dla grząskości wiosennej przejść nie podobna, a okrążyć także nie można. Na drugiej stronie błota, na gruncie stałym, rozwinęła się nasza armia. Jedyną komunikacyą między stanowiskami dwóch walczących wojsk, była szosowa grobla około 500 sążni długa. Moskale zatoczyli 40 dział do ostrzeliwania tej grobli tak, aby co się na niej pokaże, ogniem krzyżowym zmieść.

Próbowaliśmy tyralierami sforsować błota, lecz to okazało się niewykonalnem; piechotą zdobyć grobli nie podobna, a tu nie zdobywszy grobli, ani się można poruszyć naprzód. Rozkazuje przeto Skrzynecki generałowi Szneidrowi, w którego dowództwie znajdował się pułk karabinierów, by w kolumnie szóstkowej temiż karabinierami wykonał na groblę szarżę, usiłując groblę owładnąć. Gen. Schneider rozkaz ten świetnie wykonywa. Karabinierowie w kolumnie szóstkami, w największym pędzie koni przebiegają groblę, stojący na wysokości grobli batalion piechoty rozbijają, toż samo wykonywa na jakiejś ubocznej grobelce na prawo dywizyon szasserów 2. pułku i pozycya wzięta. Szarża karabinierów tak się szczęśliwie powiodła, iż pomimo krzyżowych strzałów owych 40 dział stracili tylko jednego żołnierza rannego i jednego konia zabitego. Jak tylko pierwsze szóstki karabinierów przeszły groblę, zaraz wbiegł na nią 4ty ułanów, jeszcze jakiś pułk konny, a za nim bezpośrednio 3ci piech. lin. Moskale co tchu w nogi w największem zamięszaniu i nieładzie. Noc ich zasłoniła; ścigać po nocy nie podobna, a dalsza działalność do dnia następnego odłożona; my zaś za groblą stanowisko noclegowe zająć byliśmy zmuszeni, choć nas bardzo korciło pogoń dalej prowadzić, i korzyści świetnej wygranej uzbierać. Niecierpliwie też wojsko nasze oczekiwało nadejścia drugiego dnia. Chłodno nam nie było, bo zagrzani zwycięstwem, lecz trochę głodno, ale i tego się nie czuło. Żywność z Warszawy jeszcze nadejść nie miała czasu, a gotując napad niespodziany nie można było uprzednio wojska w nią zaopatrzyć, tem więcej, iż wedle porządku mieliśmy drugiego dnia żywność otrzymać, poprzednie rozdanie mogło było tajemnicę planu zdradzić.

O świcie rozpoczęliśmy dalszą pogoń, i nie zawiodło nas oczekiwanie, dzień to był najpiękniejszy z całej kampanii, ja powiem co do mnie iż dzień to najpiękniejszy w życiu mojem, jakie to uczucia przepełniały serce, tego nikt opowiedzieć nie zdolny, jak najgenialniejszego mistrza obraz nie przedstawi tego co widziały oczy. Ażeby to odczuć, trzeba było tam być, udział brać i własnemi oczyma patrzeć. Od samego Dębe aż do Kałuszyna, a jest ze trzy mile drogi, co chwila okrzyk od czoła „na prawo i na lewo rozdaj się“ i niemal nieprzerwanym szeregiem eskorty 4. pułku ułanów, który szedł na przodzie awantgardy, wiozły zwycięskie trofea dnia tego, tu wiozą zabrane sztandary, znów ciągną zdobyte działa, znów prowadzą powózkę z kaplicą a na niej pop brodaty, znów wiozą w jego własnym powozie schwytanego moskiewskiego gen. Lewandowskiego, i znów jaszczyki, armaty i sztandary, a tego wszystkiego bez liku. Opowiadał mi Henryk Kraszewski, brat dzielnego kapitana 4. ułanów, później bimbaszy i ulubieńca Ibrahima paszy, Wincentego Kraszewskiego, który to Henryk służył w szwadronie tego dnia na czole idącym kapitana Baranowskiego, iż ciągle szarżowali, waleczny kapitan nieustannie wołał: „Wiara! armaty, hura na armaty!“ i armaty wzięte, dalejże „Wiara! piechota, hura na piechotę!“ i piechota rozbita; i całą drogę znaczył zwycięstwami, aż w końcu sam padł od kuli ręcznej broni. To były trofea, dla których przeprowadzenia, bezustannie usuwając się na prawo i lewo, miejsce na szosie robiliśmy. A tu z boków, z prawej i lewej strony gościńca, ciągnęły w przeciwnym nam kierunku oddziały moskiewskiej piechoty, w ogólnym popłochu odcięte, i już dobrowolnie się w niewolę oddające bez oporu lub po

bezskutecznym oporze, jedne kupy dziś rozbite szły bezładnie, inne w najporządniejszym szyku przez swoich oficerów prowadzone, tu porucznik prowadzi swój zwód (pluton), tam kapitan rotę (kompanią), indziej major w całym komplecie batalion, a wszyscy zapytani „Kuda stupajesz?“ odpowiadali „Garszawu, w plen“ a komendanci oddziałów przed naszymi oficerami prezentując broń, zapytywali gdzie mają broń i amunicyą składać. Tym sposobem około 15,000 uzbrojonego porządnego wojska moskiewskiego dostało się w nasze ręce. Był to dzień 2. kwietnia 1831 r.

Za Kałuszynem znów się Moskale zwarli. Pod tem miasteczkiem (własności gen. Różnieckiego) ciągną się błota i znów grobla, którą zdobyć potrzeba. Aryergarda moskiewska przeszedłszy groblę zatrzymała się i na pozycyi ustawiła działa. Artylerya rozpoczęła ogień, lecz gdy bataliony naszego pułku na prawo i lewo się sformowały i wysyłając tyralierów gotowały się do przejścia błot, Moskale dawszy kilkanaście wystrzałów działowych ustąpili, a wojsko nasze Kałuszyn przeszło. A że zmęczenie było wielkie i noc nadeszła, przepędziliśmy noc tę w pobliskim lesie.

Gdyby jeszcze jeden dzień taki, a nie byłoby ani jednej nogi Moskala po tym boku Bugu, bowiem jednodniowym marszem lekko było można dotrzeć do Siedlec. Tym sposobem linia operacyjna nad Liwcem zostałaby w naszym ręku, Moskale byliby zmuszeni opuścić Kongresówkę i z niedobitkami przenieść wojnę gdzieś na Litwę. A prócz tego w Siedlcach musiały wpaść w nasze ręce ogromne magazyny; i jeszcze jedna ponęta i pewna zdobycz: rzecz to mało komu znajoma; ja wiadomość tę powziąłem z ust czcigodnego weterana pułkownika Chotomskiego, który podówczas był podszefem sztabu głównego, a Skrzynecki dobrze o tem wiedział. Oto Dybicz, rachując iż on jest panem przerwania bezczynności, nie przewidując ani napadu z naszej strony, ani takich następstw, główne siły artyleryjne ulokował w Siedlcach, zaś konie od tych bateryi dla łatwiejszego wyżywienia cofnął o 6 mil w tył. Tych koni tak prędko ściągnąć nie mógł; uchodząc z Siedlec parku bez koni uprowadzić by nie zdołał, a tem samem cały ten park, działa, jaszczyki, wozy amunicyjne, stałyby się były dla nas łatwą i nie minioną zdobyczą, dla Moskali zaś niepomiernym uszczerbkiem i sił nadwątleniem, jakie tak łatwo zaprodukować się nie dadzą.

Gen. Skrzynecki nie umiał korzystać z tak świetnego zwycięstwa. Pędził przed sobą Moskali do Kałuszyna; o półtory mili dalej ciągnie się Liwiec i błota Liwieckie. Dał się uciekającym Moskalom po za Liwiec przeprawić i następnego dnia dotarłszy do Liwca wojska swe zatrzymał, niby pod pozorem, iż Moskale za sobą na grobli przechodzącej przez błota i rzekę Liwiec mosty, a było ich trzy, popsuli. My piechotą bylibyśmy przeszli po belkach, jak to w kilka dni później nastąpiło, a w godzinę można było na prędce dla artyleryi i kawaleryi przeprawę urządzić. Skrzynecki tego nie uczynił i nad Liwcem się zatrzymał. Awantgarda stanęła pod Boimiem, wioską leżącą nad Liwcem przy gościńcu Brzeskim. 3ci pułk zajął stanowisko wprost grobli i popsutych mostów. Za nami o kilkaset kroków postawiono gwardyą grenadyerów, a po skrzydłach dewizya kawaleryi gen. Skarzyńskiego. Główna kwatera w Jędrzejowie.

Moskalę rozpędzeni przez nas zatrzymali się za Liwcem, o czem dali nam wiedzieć następującym sposobem. Oto drugiego dnia, a była to nasza Wielkanoc, rano, jakby na aleluja puścili na nas kilkanaście granatów, z których jeden wpadł do kociołka, w którym żołnierze krupnik gotowali. Prócz rozszarpania kociołka, granaty owe szkody nam nie zrobiły żadnej. Artylerya nasza w tej chwili odpowiedziała, dając znak że jest w pogotowiu, i w kwadrans już było po wszystkiem, a żołnierze do ognisk powrócili; i tak staliśmy nieruchomie aż do dnia 10. kwietnia; lecz zanim przystąpię do dalszego opowiadania, wmieszczę w tem miejscu powyżej opuszczone wymienienie zmian w komendzie naszego pułku. Po bitwie Grochowskiej pułk. Andrychiewicz awansowany na generała, w dowództwie pułku zastąpił go awansowany na pułkownika p. pułkownik Dąbrowski, a tegoż w dowództwie batalionu major Kosowicz. Komendę nad wojskiem stojącem pod Boimiem objął gen. Tomasz Łubieński.

Przychodzę do dnia 10. kwietnia. Od razu dał się widzieć ruch w naszym całym korpusie. Gen. Skarzyński, dowódzca dywizyi kawaleryi zebrał swe pułki na lewo szosie. Do naszego batalionu dodano pod komendą Jastrzębskiego dwie kompanie innego batalionu i pluton, to jest dwa działa dowodzone przez por. Leona Rzewuskiego, przytknięto nas do kawaleryi. Choć to do historyi 3. pułku bezpośrednio nie należy, nie od rzeczy będzie, przystępując do bitwy pod Iganiami, w krótkiem streszczeniu opisać jaki był jej cel, i jakie były plany szefa sztabu gen Prądzyńskiego, tudzież jakie okoliczności posłużyły do ułożenia tego planu. Okolicznością tą była niezręczna i wadliwa dyslokacya korpusów Dybicza. Przed nami na szose prowadzącym do Siedlec stał zasłaniajacy Siedlce korpus Pahlena, kilka mil na prawo usadowił się z główną armią swą Dybicz, nie daleko ujścia rzeki Wieprza do Wisły. Takie rozdzielenie sił, a z powodu złych dróg tamtejszej błotnistej i leśnej okolicy nie tak łatwe w razie naglącym połączenia tych korpusów, jakie dla Moskali koniecznem było po tej stronie Siedlec, nakazywało wodzom naszym skorzystać z tej strategicznej wady Dybicza. Dybicz zajął to stanowisko, albowiem ciągle on się nosił z myślą, by powyżej Wieprza przez Wisłę się przeprawić i z tamtego to jest lewego brzegu Wisły, słabo z owej strony wojskiem obsadzoną Warszawę, zdobyć.

Plan więc generała Prądzyńskiego na tem polegał, by jak największą siłą Pahlena gwałtownie zaatakować, i jego korpus albo znieść zupełnie, a przynajmniej zepchnąć z pozycyi i za Siedlce przepędzić. Szybkość stanowiła wszystko, bo trzeba było tak prędko z Pahlenem się uporać, zanim by Dybicz mógł mu przyjść w pomoc. Opóźnione nadejście Dybicza po klęsce i spędzeniu Pahlena, czyniło Dybicza odciętym w najniekorzystniejszem położeniu między rzekami i na błotach i pozbawiało go wszelkich komunikacyi. Wykonanie tego planu przeznaczono na dzień 10. kwietnia. Korpusem idącym prawem skrzydłem dowodził sam twórca planu gen. Prądzyński, środkiem Skrzynecki, a lewem Łubieński, którego kawalerya (dywizya gen. Skarzyńskiego) asykurowana komendą Jastrzębskiego, trzymała ostateczne lewe, i przez Liwiec przeprawiła się w bród pod Suchą o pół mili na lewo od gościńca. Moskale obserwowali nasze poruszenia, nim jeszcze w marsz ruszyliśmy, spostrzegliśmy za rzeką uwijających się pojedyńczo kozaków. Placówki i posterunki prawie bez strzału ustępowały i znikały. Szliśmy małemi drogami i polami kierując się ku prawemu, to jest ku wielkiemu gościńcowi, którym pomaszerowała nasza piechota. W parę godzin straciliśmy z oczu naszą kawaleryą, został tylko przy nas pluton artyleryi. Jakeśmy się później dowiedzieli, przeznaczeniem było gen. Skarzyńskiego, by w stosownej chwili wykonać decydującą szarżę, i wszystko ku temu obrachowane było. Żeby zaś nie miał po drodze przeszkody opóźniającej jego na plac boju przybycie, dodano mu komendę majora Jastrzębskiego.

(C. d. n.)

NIEBIESKI KAPELUSIK.

Nowella.

KAROLA NERREY'A.

(Dokończenie).

Na pierwszej lekcyi języka niemieckiego, pani Arabella przedstawiła swoją córeczkę profesorowi. Jest to mniej więcej sześcioletnia dziewczynka, bielutka i rumiana jak krew z mlekiem. Mederyk pocałował ją w czoło. Zadał jej kilka pytań z początków gramatyki francuskiej, a następnie wyuczył ją kilku słów flamandzkich, jakich używają wieśniacy w Flandryi francuskiej. Dźwięk tych słów twardych i trudnych do wymówienia, nabawił dreszczu piękną damę w niebieskim kapelusiku, obecną przy pierwszej lekcyi swej córki, w negliżu, który bardziej jeszcze uwydatniał wykwintne jej wdzięki.

Mederyk przekonał się, że jest słodką jak miód, i że żyjąc obok niej, nie można jej nie uwielbiać.

O trzy kwadranse pani Arabella zmuszoną była pożegnać nauczyciela, gdyż i sama potrzebowała wyjść do miasta.

Podczas *drugiej lekcyi*, Mederyk zauważył, że pani Arabella ma ramiona bielsze od śniegu i szyjkę przecudnych kształtów.

Na *trzeciej lekcyi* języka niemieckiego, podczas chwilowej nieobecności uczennicy, która nie zdążyła się ubrać, Mederyk zastał w saloniku samą tylko matkę, śpiewającą przy fortepianie. Dowiedział się zatem, że dama w niebieskim kapeluszu śpiewa niegorzej od Patti. Na nieszczęście i śpiew i rozmyślanie nad nim przerwało nadejście uczennicy, którą Mederyk chętnie wyprawiłby teraz do Chin albo do Japonii.

Następne lekcye nie przeszły również bez korzyści; na każdej z nich Mederyk odkrył nowy talent lub przymiot w matce swojej uczennicy. Pewnego dnia zapytała go czy uczniowie jego ciągle jeszcze są na wsi, i czy nie potrzebuje przypadkiem pieniędzy. A gdy spojrzał na nią zdumionemi oczyma, dodała prędko:

— Jestem dzisiaj przy pieniądzach; a łatwiej by mi było dać teraz pięćdziesiąt, niż całe sto przy końcu miesiąca.

Zauważył także, że dama w niebieskim kapelusiku, znajduje przyjemność w rozmowie z nim; niekiedy po skończonej lekcyi, całemi godzinami rozmawiali, ona z robótką w ręku, on trzymając swoją uczennicę na kolanach.

Zachwyt margrabiego wzrastał z dniem każdym.

Pewnego dnia, a była to już dziewiąta czy dziesiąta lekcya w rodzaju powyższych, Mederyk, w obecności pani Arabelli, wykładał swojej uczennicy naukę flamandzkiego narzecza, gdy służąca weszła do salonu z bilecikiem od pani Delattre.

— Przyjaciółka moja — rzekła wesoło pani Arabella — zapowiada mi, że przyjdzie z nauczycielem języka niemieckiego. Odpowiem jej zaraz, że na szczęście oszczędziłeś jej pan osobistej fatygi.

— Pragnąłbym parę słów pomówić z panią — wyjąkał nieśmiało Mederyk, zrozumiawszy, że nadeszła chwila wyjaśnień, jeżeli nie chce wywoływać katastrofy. Prawdziwy nauczyciel języka niemieckiego gotów popsuć wszystko.

— Mój Boże! co panu się stało? — zawołała przerażona pani Arebella — takeś pan zbladł!

— Muszę pani zrobić pewne zwierzenie!

— Zwierzenie! mnie? słucham pana.

— Kocham cię, pani!

Mówił całą godzinę, a chociaż kochał szczerze, nie mówił bardzo od rzeczy.

Prawda, że przez całą tę godzinę wykonał tysiąc i jednę warjacyi na jeden i ten sam temat:

— *Kocham cię, pani!*

Dama w niebieskim kapeluszu, jest głęboko wzruszoną, ale zanadto jest Paryżanką, aby miała się zdradzić.

— Gdybym panu równą odpłaciła miłością — rzekła podnosząc piękne swe oczy na Mederyka — cóżby się stało z nami? Pomyśl pan sam nad tem:

...Wychodząc za mąż, byłam sierotą, odziedziczyłam skromny posag, i znakomite historyczne nazwisko; mąż mój nie był bogatszym odemnie. Usilnem staraniem jego było zwiększenie naszego szczupłego majątku, ale nie powiodły mu się spekulacye handlowe i umarł, pozostawiwszy sto tysięcy franków długu. Ani chwili nie namyślałam się i oddałam cały mój posag, aby pamięć jego pozostała bez skazy. Daleka rodzina mojego męża, wypłaca mi skromną, ale aż nadto wystarczającą pensyą; którą utraciłabym wychodząc powtórnie za mąż.

...Teraz powiedz pan, czy mogę pozbawiać moje dziecko tego, co stanowi zapewnienie jego przyszłości. A co do nas obojga, powtarzam, co by się stało z nami, gdybym kochała pana, skoro zmuszony pan jesteś ograniczyć się na dawaniu lekcyi języka niemieckiego.

— Tu właśnie, pani, zbrodnia moja przybiera olbrzymie rozmiary; bo ani jednego słowa nie umiem po niemiecku.

— Jakto, nie posiadasz pan nawet tego jedynego środka do życia?

— Nie, pani, ale w zamian mam 200.000 franków rocznego dochodu...

Tu margrabia wyznał szczerze wszystko; nazwisko swoje, wyprawę do św. Rocha i rozmowę z przyjacielem, którego jednak nazwiska nie wymienił, myśląc o jakiejś niespodziance. Wymowa jego była tak przekonowującą, że dama w niebieskim kapeluszu musiała się zgodzić na okoliczności łagodzące, i nie dopytywała się nawet o nazwisko tego nieznajomego, co tak wysokie o niej miał wyobrażenie.

— Najniezawodniej - mówiła ze śmiechem — będzie to jeden z licznych przyjaciół mojego bankiera, utrzymującego zawsze, że jestem wielka jak świat! Mój Boże! w jakichże dziwnych żyjemy czasach, każdy człowiek spełniający swój obowiązek, uważany jest za bohatera.

Koniec końców, pani Arabella, nie powiedziała wprawdzie *tak*, ale tem mniej nie powiedziała *nie*. Uszczęśliwiony margrabia biegnie do Pawła. Nie ma go w domu. Margrabia zostawia mu swój bilet, dopisawszy na prędce te słowa:

„Dzięki, dzięki, tysiączne dzięki! Żenię się. Szczęście me zawdzięczać będę Tobie

Mederik.“

Paweł wróciwszy do domu, odczytał kartkę, której treść wydała mu się zbyt ironiczną; że jednak szczerze kochał Mederyka, pospieszył natychmiast do niego, aby usprawiedliwić swoje postępowanie.

— Drogi Mederyku — rzekł do niego po przywitaniu się — porzuć już gorżkie twe szyderstwa. Wiesz, że zawiniłem przed tobą, ale przed wydaniem sądu, wysłuchaj mnie. Kiedy byłem tu u ciebie, przed trzema tygodniami, przysięgam ci na łyse czaszki wszystkich moich antenatów, że najgorętszem pragnieniem mojem było ożenić cię. Przypominasz sobie zapewne moje nadludzkie usiłowania, jakich nie szczędziłem, aby cię przekonać, że człowiek czterdziestoletni powinien się ożenić, jeżeli nie chce zgotować sobie smutnej starości. Chciałem ci oddać najpiękniejszą perłę, jaką miałem pod ręką, dalej, wiesz co nastąpiło?

...Wróciwszy do domu, pomyślałem sobie: „Tak, najlepszy mój przyjaciel musi być szczęśliwy. Następnie przyszła mi do głowy myśl, że oprócz Mederyka, jest na świecie jeszcze jeden lepszy mój przyjaciel, to jest ja sam, i po tem odkryciu udałem się do kuzynki z prośbą, aby nie poszła do św. Rocha, a przynajmniej, aby nie ubrała się w prześliczny kapelusik niebieski.

Kuzynka rozśmiała się, potem zarumieniła, i jeszcze głośniej się rozśmiała.

Nie mogłem dłużej wytrzymać i zawołałem:

— Kocham cię kuzynko!

— Wiem o tem oddawna — odpowiedziała mi oddając swą rękę.

Żenię się więc i przychodzę prosić cię na wesele. A teraz, ukarz mnię za zdradę przyjaźni, ale mi przebacz. Przychodziłem tu parę razy, aby się usprawiedliwić przed tobą, ale nie zastałem cię nigdy. Myśląc, że się gniewasz i nie chcesz mnie widzieć, musiałem się ograniczyć na pisaniu listów.

— Ani jednego nie otrzymałem.

— Posądzałem cię, że musisz być wściekły na mnie, nie znalazłszy w kościele damy z kapeluszem niebiesko-białym.

— Owszem znalazłem ją, i tak dobrze znalazłem, że się z nią żenię i zapraszam cię na wesele. Tylko że miała ona kapelusz biało-niebieski, jak ci już o tem pisałem.

— Nie otrzymałem twojego listu.

— Nic z tego nie rozumiem — zawołali obaj razem, ze zgodnością pierwszych chórzystek wielkiej Opery.

— To moja wina! — zawołał nagle stojący we drzwiach Celestyn, padając na kolana. — Ja to powiedziałem panu margrabiemu, że pan hrabia wyjechał na wieś; ja nie wpuszczałem pana hrabiego do mego pana; ja wreszcie przejmowałem wszystkie listy; ale przysięgam panom, że nie przez ciekawość, bo oto są te wszystkie nietknięte. Chciałem przeszkodzić małżeństwu pana margrabiego, i jak się pokazuje, postąpiłem sobie jak ostatni głupiec.

— Spodziewam się — rzekł Paweł do swego przyjaciela — że mu przebaczysz, ze względu, że i tak już został ukarany zniszczeniem swoich planów.

— Nietylko nie gniewam się na niego, ale zatrzymam go nadal w służbie, jeżeli tylko zdoła się podobać mojej żonie.

— Pan margrabia czyni mi wielki zaszczyt — odparł z powagą kamerdyner — ale wstępując w ślady moich przodków, poprzysiągłem sobie, że nigdy nie pozostanę w obowiązku u ludzi żonatych i dla tego, zmuszony jestem podziękować panu.

— Nie raz już chciałem się ciebie spytać o coś, droga Arabello, ale ile razy jesteśmy sami, tyle mam ci zawsze do powiedzenia, że o tem zapominam. Otóż, powiedz mi najmilsza, jaki to był kapelusz, który miałaś na główce u św. Rocha, kiedy po raz pierwszy miałem szczęście cię ujrzeć; czy był niebieski, czy biały?

— Niebieski?

— Dla czego?

— Bo zażądałam wówczas od mojej modystki niebieskiego kapelusza; gdybym była żądała białego, dałaby mi ten sam, ale w takim razie byłby już białym.

Karol Narrey.

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(*Ciąg dalszy*).

Wolność osobnikowa, oto przedmiot, który roznamiętniał naszych ojców, dzisiaj oprócz prawoznawców nikt się nią nie zajmuje. Przywykli wszyscy do porządku rzeczy, porządku często zachwalanego jako jeden z nabytków rewolucyi. Poszanowania godny charakter naszych sędziów, ich łagodność, której się nigdy dość nachwalić nie mogę, pobłażliwość a niekiedy nawet słabość sądów przysięgłych, skrywają nam na szczęście wady naszych praw karzących. Duch przenikający te prawa jest zawsze dawniejszym duchem inkwizycyi, szukają one pilniej winowajców, niż niewinnych. Szastają one więzieniem uprzedzającem, a badanie odbyte tajnie, nie pozostawia innej rękojmi jak honor i światłość sędziego. W sądzie przysięgłych sam prezydujący kieruje badaniem obwinionych i świadków, i on to swojem ostatecznem przedstawieniem sprawy trzyma w ręku los oskarżonego. Przeciwnie rzeczy się mają podług praw angielskich i amerykańskich. Dopuszczają one wolność za kaucyą, jawność stawiają na wszystkich stopniach postępowania sądowego, a prezydującego w sądzie przysięgłym czynią opiekunem oskarżonego. Nie masz w Anglii oskarżonego, któryby czepiał się urządzeń lub ludzi i im przypisywał winę swego upadku, jeśli on upada, to tylko pod ciężarem własnej hańby. Jakże sobie życzyć wypada, by mniemanie powszechne znowu ożywiło się, jak to kiedyś miało miejsce, dla tych wielkich reform! Sędziowie nasi, jestem tego pewien, chętnieby się do nich przyłączyli, państwo nicby nie straciło z swej potęgi, bo tryumf sprawiedliwości i ludzkości jest jego tryumfem.

Czyliż mam mówić o wolności przemysłowej i handlowej? Sądzę, że nie trzeba, jest to rzecz rozstrzygnięta. Z pomiędzy wszystkich swobód osobnikowych, państwo najlepiej pojmuje tylko co wymienione. Interes finansowy uczynił je przezornem. Przekonano się w końcu, że bogactwo jednostek tworzy mienie publiczne, i że

bogactwo to zawsze jest proporcyonalne do wolności. Wenecya, Holandya, Anglia, stanowią uderzające tej prawdy przykłady.

Ileż czasu potrzeba było by dojść do tego! Przez ciąg ilu wieków administracya, oślepiona własną swą mądrością, uważała osobnika za niezdolnego do chodzenia bez paska?! Ileż to ustaw, których najmniejszą wadę stanowiła nieużyteczność?! Prawo o rolnictwie, prawo o przemyśle fabrycznym, prawo żeglugi, nic nie znużyło nieszczęsnej gorliwości naszych królów i ich doradców. Z miłością dobrego, z dobrą zupełnie wiarą uwiecznili oni ciemnotę, rutynę i nędzę. Nareszcie stało się światło, przyszło ono do nas z zewnątrz. Zrozumiano, że ani nauka ani sztuka administracyi nie wyrówna pod tym względem interesowi prywatnemu. Ten pozorny nieład co przerażał naszych ojców, okazał się płodniejszym jak jednostajność jałowa, w której znajdowali upodobanie mężowie stanu. Wielka by to była nauka, gdyby miano odwagę pójść aż do końca za zasadą, która się nietylko do przemysłu daje zastosować.

Oddajmy sprawiedliwość ekonomistom francuskim pp. Dunoyer'owi, Michałowi Chevalier, Passy, Wołowskiemu — Baudrillartowi — wszyscy oni pojęli, że gospodarstwo społeczne jest nie tyle nauką o bogactwie ile nauką o działalności ludzkiej. Najbogatszym krajem jest ten zawsze, co najwięcej pracuje i najwięcej wytwarza. Z tej właśnie wychodząc zasady związali oni ekonomię polityczną z moralnością, a wolność przemysłu z wszystkiemi innemi swobodami. Czyż może co mieć dla państwa ważniejszy interes nad środki żywności publicznej? Tyberyusz, wyłączny władzca świata, czyli nie drżał na myśl, że jeden dzień opóźnienia się jego floty wracającej z Aleksandryi może obalić cesarstwo i Rzym obrócić w perzynę? Starożytna monarchia francuska czyż miała bardziej palącą troskę jak myśleć o rozwiązaniu tego trudnego zagadnienia?*) Czyż ono nie było jednym z tych, które najbardziej zajmowały konwencyą? Od kiedy to nie obawiamy się więcej głodu, jeżeli nie od czasu, w którym państwo poruczyło przemysłowi prywatnemu staranie tak drażliwe? Odkąd się państwo przestało do tego mięszać, pytanie zostało rozstrzygnięte. Lecz jeżeli obywatele sami zdolni są wyżywić siebie, bez opieki państwa, dla czego mieliby być mniej zdolni sami poznać Boga, którego wielbią, obrzędy, które odpowiadają wymaganiom ich duszy, prawdę co ma oświecić ich umysł? Czy religia cierpi w Stanach Zjednoczonych, czy nauki są przygnębione w Niemczech, czy mniemanie powszechne w Anglii mniej jest rozsądne niż na stałym lądzie? Kiedyż nareszcie zaufamy ludzkości?

Oddawna już domagamy się swobód municypalnych. Francya bardzo ich potrzebuje; lecz co do tego punktu to przyłączam się do idei Eoetvoesa i sądzę, że tu dwa stoją przeciw sobie żywioły, dwa żywioły, które zbyt często biorą za jedno stronnicy i przeciwnicy centralizacyi. Nacieramy i bronimy się dziedzinie niewyraźnie określonej.

Silnie jestem przekonany, że we własnym interesie wolności, państwo potrzebuje silnej władzy, i że władza ta może istnieć tylko na mocy centralizacyi, wydaje mi się, że nie można powrócić znowu do idei municypalnych średnich wieków. Działalność polityczna rządu musi przeniknąć nawet do najbardziej zapomnianej gminy; nic nie powinno osłabić tej jedności, co stanowi siłę i wielkość Francyi, siła jednak polityczna nie jest jednostajnością administracyjną. Obarczać państwo staraniami około spraw miejscowych, zarzucać je pytaniami, które go nie dotyczą i które mogą być rozwiązane tylko na miejscu, znaczy to osłabiać je narzucając nań bezużyteczną odpowiedzialność. Oto tu możebną jest reforma, której domagają się wszelkie przekonania i która nie mniejszą przyniosłaby korzyść rządowi jak obywatelom.

Dziś jest to prawdą pospolitą, że gmina jest szkołą wolności. W niej wykształcają się umysły praktyczne, tu widzi się z bliska czem są sprawy, tu poznaje się ich warunki i trudności. Żyje się tu ze współobywatelami i przywiązując się do małej ojczyzny, uczy się kochać wielką, czyni się tu zadość słusznej ambicyi. Czterdzieści tysięcy urzędów municypalnych dosyć byłoby, aby przyciągnąć uwagę dwukroćstotysięcy osób do spraw publicznych — znaczy to zadość uczynić tej potrzebie działalności publicznej, która podbudza gorące umysły i szlachetne serca. Obecnie zaś taki, któryby w swem małem miasteczku mógł być merem czcigodnym lub przykładnym radcą, przybywa do Paryża, i tu ginie lub zakłóca porządek.

Cóż zarzucają tej reformie? Oto, że gminy będą ogniskami rewolucyi. Nie potrzeba się tego obawiać; wszelkiego rodzaju niezadowolenia połączone razem — oto co wytwarza rewolucye. Dla tego to kraje zcentralizowane najwięcej są wystawione na rozruchy i zamachy. Kraje, gdzie życie municypalne silnie jest rozwinięte, zabezpieczone są od tych strasznych chorób. Czyż nie ma w tem nauki? Dzielić, aby rządzić, jest zasadą szkaradną, gdy się ją zastosowywa do złych namiętności ludzkich, dzielić interesy, tj. czynić im zadość we wszystkich szczegółach i trzymać w ręku jedynie zwierzchnictwo polityczne, jest przeciwnie, zasadą wyborną. To nam tłumaczy siłę i trwałość urządzeń angielskich. Dla Francuza od dzieciństwa przesiąkłego przesądami, cóż może być słabszego nad władzę królewską w Anglii, władzę, której działalność zaledwie się daje zauważyć? Lecz dla bezstronnego spostrzegacza, czy jest coś silniejszego nad tę władzę, której nic nie obciąża? Strażnica swobód publicznych podtrzymywana rozumnem przywiązaniem wszystkich tych co używają tych swobód — władza, to kraj cały. Może ona zacząć wojnę lub przeprowadzić reformę nie obawiając się ani opuszczenia jej przez opinię publiczną, ani też wybuchu rozruchów. Na stałym lądzie, administracya jest ciałem, powiem nawet, armią z odmiennym duchem, i właściwymi jej interesami, posiada ona prawo, trybunały, przywileje stawiające ją zewnątrz i po nad prawa ogólne, ma nieprzyjaciół w tych wszystkich, których gnębi lub obraża najmniejszy z jej ajentów, a my tymczasem za zniewagę wyrządzoną nam przez strażnika polnego oskarżamy państwo. W Anglii można zanieść skargę na urzędnika, można go zaczepić przed sądem, bez względu na wysokość jego urzędu; lecz tu już kończy się skarga i uraza, państwo, nie trzymając niczyjej strony w wszczętej sprawie, nie jest odpowiedzialne nawet w oczach tego, który cierpi. Gdzież tu kryje się ziarno rewolucyi?

Szukają więc innego powodu, który tym razem nie jest już politycznym — gminy, powiadają, będą źle administrowane, i zrujnują się. Jest to odwieczna odpowiedź administracyi na wszystkie domagania się niezależności — odpowiedź, której fakty wiecznie kłam zadają. Gdyby państwo wtrącało się do naszych spraw majątkowych, bezwątpienia pewna liczba takowych lepiejby była poprowadzona, lecz ileż by ich podupadło dzięki tej bezustannej opiece! Wiecznie to samo zagadnienie. Pozostawcie gminom, pozostawcie osobnikom wolność zniszczenia się, ta sama bowiem wolność pozwala im się bogacić. Zaufajcie tej sile, co utrzymuje człowieka na drodze rozumu co zabezpiecza go od własnych szaleństw — odpowiedzialności! Zwróćcie się do historyi krajów, które wykonały wielkie dzieła i co się chwalą cywilizacyą. Ateny, Rzym, Wenecya, Florencya, Flandrya, Holandya, Szwajcarya, Anglia, Stany Zjednoczone — wszystko to są kraje municypalne, gdzie gmina pozostawiona samej sobie, zawsze miała prawo rujnować się. Przypatrzcie się teraz krajom, które pomimo pozornej swej wielkości, upadły, nie mogąc się już dźwignąć z upadku: Egipt, cesarstwo rzymskie, Byzancyum, Chiny — są to rządy bez życia municypalnego, państwa zcentralizowane. Albo doświadczenie jest kłamstwem, albo też należy zawsze tą drogą dążyć do wolności. (Dok. nast.)

*) Patrz wyborne artykuły Karola Lomandre: Sur l'alimentation publique sous l'ancienne monarchie: Magasin de Libraire. t. X. XI.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

przez

J z T. T-R.

(Ciąg dalszy).

Sprawa narodowościowa, która zapanowała w całej Europie odzywa się także w Azyi; i z ust tego samego Araba słyszałam ubolewania nad tem, że wyrok Allaha podał los jego ojczyzny pod panowanie Turków, narodu nielicznego i mało wykształconego, który niczem innem, nad wojownicze usposobienie nie imponuje światu.

Zapomniałam wspomnieć o Hospicium austryackiem: jest to budynek z komfortem urządzony, kosztem rządu Rakuskiego utrzymany, w którym każdy austryacki poddany a nawet i inny katolik ma stosowne do stanu swego utrzymanie przez dwa tygodnie.

Dziwna rzecz jak na Wschodzie, a osobliwie w ziemi świętej zapatrywania średniowieczne w całej mocy do dziś dnia się utrzymują? U mahometan odbycie pielgrzymki do Mekki jest uważane za coś tak koniecznego, że rząd turecki również jak i rząd Kediva w Egipcie dostarczają swej pomocy tysiącom pielgrzymów, ułatwiając im wszelkimi sposobami podróż, już to konwojując ich przez puszcze, już to przewożąc ich statkami za darmo. Za przykładem mahometańskich władzców rządy chrześciańskie podejmują gościnnie swoich poddanych, w czem osobliwie przoduje Rossya, która liczne i obszerne posiada hospicia w ziemi świętej, i za bardzo niską cenę przewozi swoich pielgrzymów z Odessy do Jaffy, których liczba, jak nam ksiądz Bielak mówił wynosi rocznie do sześćdziesięciu kilku tysięcy.

Opuszczając 13. lutego Jerozolimę, wstąpiliśmy celem zmienienia monety do sklepu tuż obok hotelu znajdującego się, którego właścicielem jest Niemiec. Słabość i niedbałość rządu tureckiego odbija się w sposób niekorzystny dla

podróżnego przy zmianie każdej monety na drobne. Pieniądze złote i srebrne choć nawet tureckie, mają w każdem mieście inny kurs i nie ma zwyczaju, by kupiec, odebrawszy większą monetę poczuł się do obowiązku zdania reszty drobnemi...

Drobne są przedmiotem osobnego handlu i trzeba udać się dopiero do żyda wekslarza, który na ulicy na stoliku mnóstwo *drobnych* na targ wystawia i u niego takowe nabyć.

Podczas bytności naszej w sklepie byliśmy świadkami zabawnej sceny czysto oryentalnej: nadjechała na osiołku pierwsza żona paszy, gubernatora Jerozolimy w towarzystwie trzech innych żon i koniecznego w takim razie eunucha: kupowały perkaliki, przy czem jedna z nich młoda i przystojna kobietka, chcąc dokładniej materyą obejrzyć zrzuciła z twarzy zasłonę; mąż mój zbliżył się, by się jej lepiej przypatrzyć, to spostrzegłszy eunuch z gniewem targnął za zasłonę, a my uprzedzeni o nieprzyjemnych w takich razach zajściach jak najspieszniej uszliśmy ze sklepu.

Z polecenia konsula austryackiego dostaliśmy dobre konie i siodła wygodne i wybraliśmy się w podróż tak, aby stanąć na wieczór w Jaffie. Po pożegnaniach i wielu miłych słowach nawzajem z gospodarzem wymienionych, oglądając się stokrotnie na to miasto żałoby i płaczu, pokłusowaliśmy od razu raźno aby rozprószyć smutne myśli... Ale jaki nas widok spotkał? spuszczając się w niziny gór Judei ujrzeliśmy w nader krytycznem położeniu pewną parę jadącą w przewieszonych na mule koszach; pogubili oni pakunki, pierzyny, a sami ruszyć się nie mogli, bo gdyby jedno z nich wysiadło, to dla braku równowagi drugie musiałoby upaść, a pytanie jakby się muł w tym wypadku był zachował? błagali nas i prosili o ratunek, więc też kazaliśmy naszemu przewodnikowi wybawić uwięzioną parę z kłopotu.

Wkrótce potem widzimy przepędzających nas w cwał kilku jeźdźców, którzy minąwszy nas, nadjechali na rów, a nie mogąc rozbieganych koni powstrzymać w pędzie, wpadają głową w przyległą Cisternę i tylko tańczące w powietrzu nogi wyrażają wymownie całą krytyczność ich położenia. Mimo całego współczucia dla ich losu nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu; dojechaliśmy ku nim, lecz już się byli wydobyli bez szwanku i więcej nas nie przeganiali.

Liczne spotykaliśmy po drodze karawany, które pozdrawialiśmy grzecznem *Nearad Said* (dzień dobry), za co nam odpłacali wdzięcznem uśmiechem, bo trzeba wiedzieć że inni Europejczycy gardząc nimi, nie zaszczycają ich tak często tem pozdrowieniem. Stanowisko Europejczyka na Wschodzie jest uprzywilejowane; wyjęty jest on zupełnie z pod władzy miejscowej tak, że nawet w razie jakiego przekroczenia, lub zatargu z ludnością miejscową, dotyczący konsul (zazwyczaj na korzyść swego krajowca) sprawę rozstrzyga; a że szczególniej konsulowie angielski, francuski i rosyjski w obronie swoich ziomków przy każdej sposobności energicznie stoją, ztąd urosła przewaga ludzi białych nad czarnymi i miejscowa ludność tę przewagę aż nadto dobrze odczuwa...

Wzdłuż drogi naszej sterczą słupy telegraficzne o jednym drucie, ubóstwo drzewa w Palestynie i tu się uwidocznia, bo słupy cieńkie nie wyższe są nad sążeń, a że grunt kamienisty, więc nie zakopane w ziemię tylko kupką kamieni umocowane. Do tego samego Bullaku co i pierwej jakeśmy jechali do Jerozolimy, przybyliśmy na popas, a koło piątej po obiedzie znaleźliśmy się znowu w Ramleh, gdzie z ochotą bylibyśmy wstąpili do klasztoru, gdyby nie towarzysz nasz major K., Niemiec, który przyciągnął nas do tak zwanego hotelu, własności również Niemca, gdzie obiecywał nam „*Einen vortreflichen deutschen-cafe*“. Miałam już dawniej wyobrażenie o niemieckiej kawie, ale dałam się jakoś zwieść obiecankom. Boże! cóż za lura! pomijam już kawę pod postacią zaledwie zafarbowanej wody; ale nawet mleko było zielonawego koloru... Na zapytanie majora czy ją dobrą znajduję, wyraziłam mój podziw, że pierwszy raz w życiu spotykam się z mlekiem, któremu spożyte przez krowy siano udzieliło swej barwy!

Żałowałam że nie mogłam raz jeszcze znaleźć się w tych samych murach, gdzie wypoczywał nasz przodek Tomasz Treter, podczas swej podróży do Ziemi św. roku 1582. Niezawodnem jest, że klasztor w Ramleh egzystuje od r. 1392, bardzo też możebnem było moje przypuszczenie, że ta sama cela, w której on przebywał i nam udzieliła przytułku na nocleg.

Chcieliśmy koniecznie zdążyć na noc do Jaffy, aby zasłużyć sobie na zaszczytny sąd wyrażony w jednym z opisów tej drogi: „Pour se rendre en une journée de Jaffa a Jerusalem il faut être bon cavalier et avoir un bon cheval car on a 15 lieues à parcourir par une route assez accidentée“. (Dok. nast.)

PANI METAFIZYKA.

(Z Béranger'a.)

Raz, pani Metafizyka
Rzecze: słuchaj piosenkarzu,
Rzuć nędzne trele słowika,
I stań przy moim ołtarzu.
Jadę balonem do nieba;
A tam, radzę siadaj ze mną.
Sam Bóg, wiedzieć ci potrzeba,
Zdejmuje czapkę przedemną.

Wielu mędrców wiodłam kroki;
Potężny balon Platona
Zaniósł precz, aż pod obłoki
Sam Chrystyanizm z mego łona.
Doktorowie wszelkiej broni,
Na mym balonie — bez końca,
Wciąż i wciąż, z latarką w dłoni
Szukają jasnego słońca.

Patrz, jak szybują, wspaniali!
Sieją dary wsi i miastu;
Całe Niemcy zasypali
Piaskiem swojego balastu.
We Francyi, z równą ochotą,
Od strzechy aż do salonów,
Eklektyzm uczy za złoto
Kierunku moich balonów.

Słysząc te pochwały — wierzę;
I do balonu się garnę;
Jakiś doktor za ster bierze,
I wpadamy we mgły czarne.
Mój przewodnik jest w zachwycie,
Lecz we mnie dusza zamiera,
Zdaje mi się — co powiecie,
Że siedzę *vis a vis* zera.

Wyżej — ciemniej tysiąc razy,
Sto balonów w siebie bije.
Wściekłe sypią się wyrazy,
Mój doktor enigmy wyje.
Balon uderzony w ciemię,
Nie zdoła przenieść zamachu...
Dobranoc! spada na ziemię!
Doktor żegna się ze strachu.

Przez chwilę mi się zdawało,
Żem zwiedzał niebieskie stropy,
Lecz potem się pokazało,
Żem był nad ziemią trzy stopy.
Spadłem na bal — miękka sofa,
Kobiety, kwiaty, i błoga
Kolacya u filozofa,
Co weselem wielbi Boga.

Ratuj! wołam, duchu bratni!
Mnie z zaułków i przesmyków;..
Śpiewaj, mówi — zostaw w matni
Szanownych Metafizyków.
Cała massa ich tam przędzy
Przez szaleńców uwielbiana,
Mniej ukoi łez i nędzy,
Niż piosenka szynkowniana.

M. Rodoć.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ

EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

III.

Miesiąc ten był dziwnie piękny. Pod ożywczemi promieniami kwietniowego słońca ogród pokrył się jasną zielonością, delikatną i lekką jak koronka. Koło kraty łodygi powojów wypuszczały cienkie latorośle, a przewierścień w pączkach wydawał delikatny zapach. Po obu stronach trawnika, ostrzyżonego i starannie utrzymanego, czerwone gieranie kwitły w koszach. A w głębi klomb wiązów, wciśnięty między sąsiednie zabudowania, tworzył wysoką ścianę ogrodu z gałęzi swoich, których małe listki drżały za najmniejszym powiewem wiatru.

Przez całe trzy tygodnie błękit nieba nie zasępił się ani jedną chmurką. Zdawało się, że wiosna uroczyście obchodzi święto nowej młodości, nowego wesela, co się zrodziły były w sercu Heleny. Każdego popołudnia schodziła do ogrodu z Joanną. Miała już swoje miejsce, przy pierwszym wiązie, na prawo. Stało tam krzesło jej i nazajutrz na żwirze drogi znajdywała jeszcze końce nitek, które porzucała tu była dnia poprzedniego.

— Jesteś u siebie — mówiła do niej każdego wieczora pani Deberle; powzięła była dla niej jedno z owych gorących uczuć, które jej wystarczało na pół roku. — Do jutra! Postaraj się przyjść wcześniej, dobrze?

W istocie, Helena czuła się jak u siebie. Powoli przywykła do tego zielonego kątka i z dziecinną niecierpliwością oczekiwała chwili, w której się do niego udawała. W ogródku tym zachwycała ją szczególnie czystość trawnika i drzew. Ani jedna niepotrzebna trawka nie psuła ogólnej symetryi. Dróżki, gracowane co rana, miękkie były jak dywan. Oddychała tam cicho i spokojnie, nadmiar życia nie drażnił jej tutaj. Z klombów tych, zarysowanych tak czysto, z tych ścian bluszczowych, z których ogrodnik codziennie obrywa pożółkłe listki, nie wznosiło się nic, coby mąciło spokój jej ducha. Pod cieniami wiązów, zamkniętych ze wszystkich stron, ogródek ten, do którego pani Deberle przynosiła lekki zapach piżma, zamieniał się na salon. Tylko widok nieba przypominał Helenie, że jest na wolnem powietrzu; kiedy podniosłszy głowę spojrzała na nie, wówczas szeroką piersią oddychała.

Bardzo często całe popołudnia spędzały we dwie, nie widząc nikogo więcej. Joanna i Lucyan

bawili się przy ich nogach. Długie nieraz chwile milczenia panowały wówczas między niemi. Czasem pani Deberle znudzona myśleniem, mówiła całemi godzinami; nieme potwierdzenie Heleny, proste kiwnięcie głową wystarczały jej; zadowolniona, pędziła dalej, niezmordowanie przeskakując z przedmiotu na przedmiot. Były to nieskończone historye o paniach z jej kółka, projekta zabaw na przyszłą zimę, uwagi gadatliwej sroczki o bieżących wypadkach, jednem słowem, cały chaos światowy, co się plątał i mięszał w ciasnej główce ładnej kobiety. Wszystko to jeszcze przeplatały nagłe wyznania miłości dla dzieci i czułe frazesa o uroku przyjaźni. Helena dawała się ściskać za ręce. Nie zawsze słuchała jej mowy, ale że sama była w stanie ciągłego rozczulenia, więc też i pieszczoty Julii rozrzewniały ją — uważała je jako dowód wielkiej dobroci, dobroci anioła.

Czasami zjawiał się kto z wizytą. Pani Deberle była wówczas zachwycona. Od Wielkiejnocy zaprzestała przyjmować u siebie w soboty, bo tego wymagała pora roku. Ale niecierpiała samotności, i największą jej robiono przyjemność, kiedy ją odwiedzano bez ceremonii, w ogródku. Zajmował ją wówczas szczególnie wybór okolicy, w której miała przepędzić sierpień. Z każdą osobą rozpoczynała tę samą rozmowę; rozpowiadała, że mąż jej nie będzie mógł towarzyszyć do morza; potem rozpytywała znajomych i zawsze nie mogła zdecydować się na wybór. Podróż ta miała jakoby na celu nie ją, ale Lucyana. Jeżeli piękny Malignon przybywał, siadał wówczas konno na jednem z wiejskich krzeselek. Piękny młodzieniec nie mógł znieść wsi; trzeba być szalonym, powiadał, by wydalać się z Paryża dla tego tylko, by dostać kataru nad brzegiem morza. Pomimo to jednak spierał się o wybór wybrzeża; wszystkie były szkaradne, i wyjąwszy chyba Trouville, niepodobna było znaleść nic chociażby cokolwiek porządnego. Helena codziennie słuchała tej samej sprzeczki, i nie męczyło jej to; monotonia ta przyjemnie kołysała ją, usypiając jak gdyby na jedną nutę. W końcu miesiąca pani Deberle jeszcze nie wiedziała, gdzie pojedzie.

Jednego wieczora, kiedy Helena już wychodziła, Julia rzekła do niej:

— Jutro muszę wyjść; ale niech cię to nie wstrzymuje... Przyjdź jak zawsze i czekaj na mnie; niedługo wrócę.

Helena przystała na to. Przyjemnie spędziła całe poobiedzie w samotności. Po nad głową swoją słyszała tylko szelest skrzydeł wróbli latających między drzewami. Cały wdzięk tego zielonego ustronia przenikał ją roskoszą. I od tego dnia najszczęśliwszą się czuła, kiedy przyjaciółka zostawiała ją samą w ogrodzie.

Coraz ściślejsze stosunki zawiązywały się między nią a rodziną Deberle. Jadała u nich niekiedy jak przyjaciółka, którą zatrzymano na obiad w chwili siadania do stołu: jeżeli zabawiła dłużej pod wiązami, i Piotr oznajmił, że dano do stołu, Julia prosiła ją, by pozostała, i Helena czasem przystawała na to. Doktor Deberle i Helena zdawali się być dobrymi przyjaciółmi; charaktery ich rozważne, trochę zimne, sympatyzowały z sobą. To też Julia często mówiła:

— Oh! doskonalebyście się z sobą rozumieli... Mnie ten wasz spokój do najwyższego stopnia rozdrażnia.

Po południu doktor wracał z wizyt swoich. Znalazłszy panie w ogrodzie, siadał koło nich. Z początku Helena chciała zaraz odchodzić, by pozostawić samo małżeństwo. Ale Julia tak żywo się gniewała o to nagłe odchodzenie, że teraz już pozostawała z nimi. Brała udział w codziennem wewnętrznem życiu rodziny, która zdawała się być zawsze ściśle zjednoczona. Kiedy doktor przychodził, żona jego zawsze z jednostajnie przyjaznym ruchem nadstawiała mu twarz do całowania, i on ją całował; potem, kiedy Lucyan deptał mu po nogach, pomagał mu wleść na kolana, i rozmawiając, trzymał go. Chłopak zamykał mu usta rączkami swemi, targał go za włosy, przerywał mowę i sprawował się tak źle, że ojciec spuszczał go wreszcie na ziemię i kazał iść bawić się z Joanną. Helena uśmiechała się, patrząc na tę zabawę, przerywała robotę swą i spokojnem wejrzeniem obejmowała ojca, matkę i dziecię. Pocałunek męża nie mięszał jej, swawola Lucyana rozczulała. Możnaby powiedzieć, że odpoczywała w tym szczęśliwym spokoju małżeństwa.

Tymczasem słońce pochylało się ku zachodowi; promienie jego ozłacały wierzchołki górnych gałęzi. Blade niebo promieniało łagodnem światłem. Julia, która miała zwyczaj zadawania pytań nawet osobom bardzo mało sobie znanym, raz po raz zasypywała niemi męża, nie czekając nawet na odpowiedź.

— Gdzie byłeś? co robiłeś?

On wówczas opowiadał jej o wizytach swoich, o znajomościach, co się kończyły na ukłonach, objaśniał ją o jakimś meblu lub materyi, widzianej na wystawie sklepowej. Często gdy mówił, oczy jego spotykały się z oczami Heleny. Żadne z nich nie odwracało wówczas głowy. Przez chwilę patrzyli na siebie poważnie, prosto w twarz, jak gdyby przenikali się wzrokiem aż do głębi serc swoich, potem uśmiechali się, powoli opuszczając powieki. Nerwowa żywość Julii, którą osłaniała sztuczną ociężałością, nie dawała im długo rozmawiać z sobą; młoda kobieta wtrącała się do każdej ich rozmowy. Jednakże zamieniali z sobą po kilka słów; frazesa zwykłe, pospolite, zdawały się w ich ustach nabierać głębszego znaczenia i przeciągały się po za dźwięk głosów. Każde swe słowo wzajemnie stwierdzali lekkiem skinieniem, jak gdyby wszystkie ich myśli były wspólne. Było to zrozumienie się zupełne, wewnętrzne, pochodzące z głębi istot; milczenie nie stawiło mu tamy, przeciwnie, dopomagało mu. Czasami Julia przerywała swą paplaninę, trochę zawstydzona tem, że wciąż mówi.

— I cóż? nudzisz się? — mówiła. — Mówimy o rzeczach, które cię wcale nie zajmują.

— Nie, proszę nie zważać na mnie — odpowiadała Helena wesoło. — Ja się nigdy nie nudzę... Lubię słuchać i nic nie mówić.

I mówiła prawdę. Cały urok swojej tam bytności czuła zupełnie wtenczas dopiero, kiedy mogła milczeć. Z głową, pochyloną nad robotą, od czasu do czasu podnosiła oczy i zamieniała z doktorem owe długie spojrzenia, co ich przykuwały jedno do drugiego, i zamykała się w zadowoleniu, jakie jej sprawiało wzruszenie. Wyznawała już teraz przed sobą, że między nim a nią było tajemne uczucie, coś bardzo słodkiego, tem słodszego, że nikt na świecie nie wiedział o tem. Ale tajemnica ta nie odbierała jej spokoju, bo żadna zła myśl nie zakłócała go. Jak on był dobry dla żony swej i dla dziecięcia! Więcej jeszcze go kochała, kiedy patrzyła, jak się bawi z Lucyanem i całuje Julię. Przyjaźń ich wzmogła się od czasu, jak go widywała w jego kółku rodzinnem. Teraz zdawało się jej, że sama należy do nich, że nie mogą już wydalić jej. W myślach swoich nazywała go Henrykiem; nauczyła się tego, wciąż słysząc, jak go Julia nazywa. Kiedy ustami mówiła „pan,“ w głębi jej istoty jakieś echo powtarzało „Henryk.“

Pewnego dnia doktor znalazł Helenę samą pod wiązami. Julia wychodziła prawie codziennie.

— Ah! mojej żony nie ma? — rzekł.

— Nie, opuściła mnie — odpowiedziała, śmiejąc się. — Prawda, że pan przychodzi wcześniej.

Dzieci bawiły się w drugim końcu ogrodu. Doktor usiadł przy niej. Sam na sam nie mięszało ich wcale. Godzinę prawie rozmawiali o różnych rzeczach, i ani na chwilę nie przyszła im chętka zrobienia jakiejkolwiek wzmianki o uczuciu, które przepełniało ich serca. Na cóż mieli mówić? Czyż nie wiedzieli już teraz tego, coby sobie powiedzieć mogli? Nie mieli nic do wyznania. Dosyć im było być razem, w każdym przedmiocie pojmować się wzajemnie, spokojnie cieszyć się samotnością tu właśnie, gdzie on codziennie w wieczór całował żonę swoją.

Tego dnia żartował z jej upodobania do roboty.

— Nie wiem nawet — mówił — jaki jest kolor oczu pani; zawsze je masz zwrócone na igłę.

Podniosła głowę i jak zwykle popatrzyła na niego prosto w twarz.

— Byłżebyś pan kłótliwy? — spytała łagodnie.

On mówił dalej:

— Ach! szare są... szare z odbłyskiem niebieskim, nieprawdaż?

Oto wszystko, na co się odważali; ale wyrazy te nabierały jakiejś słodyczy nadzwyczajnej. Odtąd, często ją znajdywał samą o zmroku. Sami nie czuli tego, że wówczas zwiększała się między nimi zażyłość. Mówili do siebie głosem zmienionym i z pewnym odcieniem pieszczotliwym, który znikał, jeżeli mieli świadków rozmowy swej. Pomimo to jednak, kiedy Julia wracała z miasta ze swą gorączkową gadatliwością, obecność jej nie przeszkadzała im; mogli nie przerywać rozmowy swej, nie potrzebowali mięszać się lub odsuwać krzeseł swoich. Zdawało się, że ta piękna wiosna, ten ogródek z kwitnącymi bzami przedłużały w ich sercach pierwsze wiośniane zachwyty miłości.

Pod koniec miesiąca pani Deberle ogromnie się zajęła jednym wielkim projektem. Nagle zrodziła się w niej myśl dania balu dziecinnego. Myśl ta tak opanowała jej pustą głowę, że ze zwykłym sobie hałaśliwym pospiechem natychmiast zajęła się przygotowaniami. Chciała urządzić coś bardzo ładnego. Bal miał być kostiumowy. Odtąd mówiła już jedynie o tym balu, u siebie, u innych, wszędzie. Nieskończone o tem rozmowy rozpoczęły się w ogrodzie. Piękny Malignon utrzymywał, że to projekt cokolwiek „głupkowaty“, raczył jednak zająć się nim i obiecał przyprowadzić jednego znajomego mu komicznego śpiewaka.

Jednego południa, kiedy wszyscy siedzieli pod drzewami, Julia postawiła ważną kwestyę kostiumów dla Joanny i Lucyana.

— Waham się mocno — rzekła — myślałam o pajacu w białym atłasie.

— Ależ to pospolite! oświadczył Malignon I bez tego na balu tym będzie z jakie pół tuzin pajaców... Zaczekajcie, trzebaby coś wynaleść...

I głęboko się zamyślił, trzymając w ust

gałkę laseczki swej. Tu Paulina nadbiegła, — wołając:

— Ja mam ochotę przebrać się za subretkę...

— Ty! — rzekła pani Deberle ze zdziwieniem — ależ ty się nie przebierzesz! Czy masz siebie za dziecko, ty, wielka pannico?... Zrobisz mi przyjemność i przyjdziesz w białej sukni.

— Szkoda! byłabym się ubawiła — mruknęła Paulina, która pomimo swych ośmnastu lat ogromnie lubiła skakać z malutkiemi dziećmi.

Helena tymczasem pracowała pod drzewem podnosząc niekiedy głowę i uśmiechając się do doktora i pana Rambaud, którzy rozmawiali, stojąc przed nią.

Pan Rambaud był już na stopie poufałej u Deberle'ów.

— A Joanna — spytał doktor — jakże ją ubierzecie?

Ale tu Malignon przerwał mu mowę.

— Znalazłem!... Markiz z czasów Ludwika XV!

I z miną tryumfującą potrząsał laską swą. Ale zadziwił się, spostrzegłszy, że się nie zachwycano pomysłem jego.

— Jakto! nie rozumiecie?... Lucyan będzie przyjmował gości swoich, nieprawdaż? Ustawicie go zatem koło drzwi w ubraniu markiza z wielkim bukietem róż u boku, i będzie się kłaniał damom.

— Ależ, zarzuciła Julia, będziemy mieli markizów tuzinami.

— I cóż ztąd? — rzekł spokojnie Malignon. — Im więcej markizów tem śmieszniej będzie. Powiadam, że tak się należy... Trzeba koniecznie, żeby gospodarz domu był przebrany za markiza, inaczej bal będzie obrzydliwy.

Zdawał się być tak głęboko przekonany o tem, że Julia także uczepiła się tej myśli. W istocie, kostium markiza Pompadour z białego atłasu, haftowanego w małe bukieciki, to będzie śliczne.

— A Joanna? — powtórzył doktor.

Dziewczynka zbliżyła się i z wyrazem pieszczoty oparła o ramię matki. Helena miała już otworzyć usta, kiedy ona szepnęła:

— O mamo, pamiętasz, coś mi obiecała?

— Cóż takiego? — spytano dokoła.

Dziewczynka błagającym wzrokiem patrzyła na matkę. Helena odpowiedziała — uśmiechając się.

— Joanna nie chce, by wiedziano o jej kostiumie.

— Tak, tak! — zawołało dziecię.—Żadnego nie robi się efektu, kiedy kostium wiadomy.

Zaczęto żartować z tej kokieteryi. Pan Rambaud miał ochotę podrażnić dziecię. Od jakiegoś czasu Joanna dąsała się na niego, i biedny człowiek zrozpaczony, nie wiedząc jak ma odzyskać łaskę u swojej małej przyjaciółki, próbował drażnić ją, sądząc, że to ich zbliży znowu. I teraz, patrząc na nią — powtórzył razy kilka:

— Ja powiem, ja powiem...

Dziewczynka zbladła. Jej miła, schorowana twarzyczka nabrała jakiegoś dzikiego wyrazu, na czole pojawiły się dwa wielkie zmarszczki, podbródek przedłużył się i drżał nerwowo.

— Ty — jąkała — ty nie powiesz nic...

A kiedy on wciąż udawał, że chce mówić, rzuciła się do niego — wołając:

— Milcz, ja chcę, żebyś milczał!... Chcę!...

Helena nie miała czasu przewidzieć tego napadu, jednego z tych wybuchów wściekłego gniewu, które niekiedy straszliwie wstrząsały dziewczynką. — Rzekła tylko surowo:

— Joanno, strzeż się, będziesz ukarana!

Ale Joanna nie słuchała, nie słyszała. Drżąc od stóp do głowy, tupiąc, dusząc się, wciąż powtarzała: „Ja chcę!... ja chcę!...“ a głos jej stawał się co raz chrapliwszy, co raz dzikszy; zakurczonymi palcami pochwyciła ramię pana Rambaud i wykręcała je z nadzwyczajną siłą. Napróżno Helena groziła jej. Nie mogąc nic poradzić surowością i zmartwiona tą sceną przy tylu świadkach — szepnęła tylko z cicha:

— Joanno! jaką ty mi przykrość wyrządzasz!

Dziewczynka natychmiast odwróciła głowę i puściła rękę pana Rambaud. Spostrzegłszy twarz matki zmienioną i oczy pełne łez, wybuchła łkaniem i rzuciła się jej na szyję — jąkając:

— Nie, mamo.... nie, mamo!

Gładziła ją po twarzy, chcąc powstrzymać łzy. Matka usunęła ją powoli od siebie. Wówczas dziewczynka, której serce pękało, straciła głowę, upadła na jednę z ławek, stojących obok, i mocniej płakać zaczęła. Lucyan, któremu ją zawsze stawiono za przykład, patrzał zadziwiony i jak gdyby zadowolniony. Helena złożyła robotę, przepraszając za niemiłą scenę; Julia rzekła, że wszystko trzeba przebaczać dzieciom; przeciwnie, mała miała bardzo dobre serce i tak mocno martwiła się teraz biedaczka, była już aż nadto ukarana. Przywołała ją do siebie, chcąc pocałować, ale Joanna nie chciała przyjąć przebaczenia i nie wstała z ławki, dusząc się tylko łzami.

Pan Rambund i doktor zbliżyli się do niej. Pierwszy pochylił się i wzruszonym głosem zapytał:

— Czegoś się pogniewała, kochanko, cóżem ci zrobił?

— Och! — rzekło dziecię, odejmując rączki i ukazując wzburzoną twarzyczkę — chciałeś mi zabrać mamę.

Doktor, który słuchał tego, zaśmiał się. Pan Rambaud nie zrozumiał od razu.

— Co ty mówisz?

— A tak, w tamten wtorek... O, dobrze wiesz o tem, ukląkłeś, pytając mnie cobym powiedziała na to, gdybyś pozostał u nas.

Doktor nie śmiał się już. Zbladłe usta jego drżały. Przeciwnie, pan Rambaud zarumienił się, zniżył głos i wyjąkał:

— Ależ powiedziałaś, że będziemy zawsze bawili się razem.

— Nie, nie, nie wiedziałam — odpowiedziało dziecię z gwałtownością.— Nie chcę teraz, słyszysz!.. Nie mów o tem nigdy, nigdy, a będziemy w przyjaźni.

Helena stojąc z koszykiem, do którego złożyła była swą robotę, usłyszała te ostatnie słowa.

— Chodźmy Joanno — rzekła. — Kto płacze, nie powinien nudzić tem nikogo.

Ukłoniła się, popychając przed sobą małą. Doktor bardzo blady, nie spuszczał z niej oka. Pan Rambaud był zmięszany. Tymczasem pani Deberle i Paulina, przy pomocy Malignon'a, obracały Lucyana na wszystkie strony, żywo rozprawiając, jak mu będzie do twarzy w kostiumie markiza Pompadur.

Nazajutrz Helena sama była pod wiązami. Pani Deberle, zajęta balem, wzięła z sobą Lucyana i Joannę. Doktor wróciwszy wcześniej niż zwykle, żywo zbiegł z ganku; ale nie usiadł, tylko chodził w około młodej kobiety i obrywał z drzew kawałki kory. Helena podniosła oczy, zaniepokojona jego wzruszeniem; potem trochę drżącą ręką szyła dalej.

— Pogoda zaczyna się psuć — rzekła zakłopotana milczeniem. — Dzisiaj jest prawie zimno.

— Mamy dopiero kwiecień — szepnął usiłując mówić spokojnym głosem.

Zdawał się chcieć odejść. Ale wrócił i nagle zapytał:

— A więc wychodzisz pani za mąż?

Pytanie to zadziwiło ją tak, że upuściła z rąk robotę. Była bardzo blada. Największym wysiłkiem woli zachowała twarz marmurową; oczami szeroko rozwartemi, milcząc patrzyła na niego. On znowu błagającym tonem przemówił:

— Och, proszę pani, jedno słówko, jedyne... Czy wychodzisz za mąż?

— Tak, być może, cóż to pana obchodzi? — rzekła nakoniec tonem lodowatym.

On zrobił gwałtowny ruch i zawołał:

— Ależ to niepodobieństwo!

— Dla czego? — rzekła, nie spuszczając z niego oczu.

Pod tym wzrokiem, który mu zamykał słowa na ustach, musiał zamilknąć. Jeszcze chwilę postał, podnosząc ręce do skroni; potem lękając się, by nie popełnił jakiego szaleństwa, oddalił się; ona zaś wzięła się niby spokojnie do roboty.

Ale znikł odtąd, cały powab tych wieczorów. Nazajutrz wprawdzie, doktor był znowu czułym i posłusznym jak dawniej, ale Helena mięszała się, jak tylko pozostawała z nim sama. Nie było już owej miłej poufałości, owego pogodnego zaufania, które dotąd pozwalało im być spokojnie jedno obok drugiego, które dawało im niezmąconą niczem, czystą radość z tego, że byli razem. Pomimo wszelkich usiłowań, jakich dokładał, by jej nie przestraszyć, patrzał czasem na nią z gwałtownem drżeniem, z twarzą zaognioną, zaczerwienioną. Ona sama utraciła dawny swój spokój; jakieś dreszcze przechodziły ją, opuszczała nieraz zmęczone ręce i czuła niemoc jakąś w całem ciele. Cały świat namiętności i żądz zdawał się budzić w nich.

Do tego doszło, że Helena nie pozwalała Joannie oddalać się od siebie. Doktor wciąż spotykał między sobą a nią tego świadka, który go śledził wciąż swemi czystemi oczami. Najwięcej jednak Helena cierpiała nad tem, że nagle zaczęła się uczuwać zmięszaną w obec pani Deberle. Kiedy ta wracała z włosami rozrzuconemi ze swoich wycieczek po Paryżu i nazywając ją „moja droga,“ opowiadała gdzie była i co robiła, Helena nie mogła już jej słuchać spokojnie i z uśmiechem; czuła w swem sercu jakąś burzę uczuć, których nie chciała zrozumieć. Był między niemi niby wstyd, niby żal. Potem uczciwa jej natura brała górę; wyciągała rękę do Julii, nie mogła jednak wstrzymać się od fizycznego dreszczu, jaki sprawiało jej dotknięcie palców przyjaciółki.

Tymczasem pogoda zepsuła się. Deszcze zmusiły szukać schronienia w japońskim pawilonie. Ogród, tak czysty przedtem, zamienił się na jezioro. Jak tylko jednak jaki promień słońca przedarł się pomiędzy dwiema chmurami, trawy natychmiast podnosiły główki swe, otrząsając się z wilgoci, a na każdym kwiatku bzu, zwisała perełka wody. Pod wiązami wielkie krople spadały.

— Nakoniec w sobotę — rzekła pewnego dnia pani Deberle. — Ach! moja droga, padam ze znużenia.... Nieprawdaż? przyjdziecie o drugiej. Joanna otworzy bal z Lucyanem.

I zachwycona przygotowaniami balu swego, a zarazem ulegając potrzebie wylania się, uści-

snęła dzieci; potem śmiejąc się, objęła Helenę i mocno ucałowała w oba policzki.

— To w nagrodę za moje trudy — rzekła wesoło. — A zasłużyłam na nią, nabiegałam się dosyć! Zobaczycie jak to się uda wybornie.

Helena chłodno przyjęła pieszczotę po nad jasną główką Lucyana, który zawiesił się na szyi ojca, doktor patrzał na obie kobiety.

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Wschowa. W sierpniu 1878 r.

(Górny Szlązk ożywił się. — Karol Miarka. — Ks. Przyniczyński. — Karl Emil Franzos. — Victor Blüthgen. — Jerzy Ebers (homo sum). — Włoski pessymizm. — Giov. Rizziego (Rizzi) broszura. — Ernest'a Renan'a Caliban. — Z Wielkopolski.)

Po wielu klęskach krajowych zapomniano zupełnie o Szlązku, który kiedyś, do Polski należał. Ale w tym Szląsku mówiono jedynie po polsku, modlono się w „polskim" kościele, opowiadano sobie baśnie ojców raz z łaski zmysłu zachowawczego prostego ludu, a potem z łaski rządu zaborczego, który niewielki kraik, Górny Szlązk, przeoczył, lekceważąc go pewno. Kiedy nagle ten kątek politycy Księstwa odkryli, głosiły dzienniki, że tam i po polsku myślano. To ostatnie twierdzenie zdaje mi się patryotyczną przesadą. Zobaczymy! Inna to rzecz, mówić po polsku, a inna, myśleć. Ludzie wykształceni mówią zwykle kilkoma językami, często nie gorzej od krajowców, a w jednym tylko myślą. Język jest spadkiem po ojcu, raczej po matce, lub innej karmicielce, a myśli takiej lub innej dopiero nauczyć się trzeba. Chińskie dziecko do Francyi, jako niemowlę uniesione i po francusku wychowane będzie Francuzem, co twierdzę mimo frazesów o wrodzonem uczuciu patryotycznem i td. A lud prosty, czemże? jeźli nie dzieckiem politycznem, choć niektórzy inaczej twierdzą. To dziecko, które uczyć trzeba, aby na zapytanie: czem jesteś? odpowiedziało: Polakiem! Łatwo się domyślić, że bez nauczycieli trudno się zupełnie nieświadomemu czegoś nauczyć. Gdzież byli nauczyciele polityczni Górnego Szlązka? Szlachta słowiańska zniemczała tu, jak w Czechach i Luzacyi, mieszczaństwa tam nie było, a pospolity polski wieśniak nie miał wówczas pojęcia, co to polityka. Jest pewnikiem historycznym, że w narodach podbitych, jeźli tylko ubodzy i mali przy status quo ante zostali, język rodzinny za niższy, pospolity uchodzi, a w dalszej konsekwencyi, że się tego języka i zwyczajów z nim złączonych parweniusz każdy, choćby nawet inteligentny, wstydzi. Ileż to np. trudu i starań przyłożyć trzeba, by żołnierza, wracającego z wojska do domu, oduczyć kozlawej niemczyzny? Ponieważ wieśniacy Górnego Szlązka dobrze się mają, przeto wyszedł z ich łona cały szereg inteligencyi jako to: księży, profesorów i nauczycieli. Zdawałoby się, że właśnie ci ludzie jako swiadomi powinni byli stanąć na straży tradycyi niezmiernie naturalnych braci. Wszakże tak się nie dzieje, bo syn chłopski, stawszy się księdzem, jest Niemcem, gdyż już w szkole wyszydzano jego „żargon", a reszty dokonał uniwersytet wrocławski. Nie przesada to. Znałem w Wrocławiu dwóch profesorów Górnoszlązaków i kilku księży. Ilekroć byli sami bez obcych żywiołów, mówili z sobą dyalektem rodzinnym, ale kiedy ktoś obcy do nich przysiadł, choć nawet Polak, jak np. referent obecnie piszący, urywali natychmiast polską rozmowę i zaczynali po niemiecku. Trudno ich było przekonać, że to wstyd fałszywy. Wstydzili się. Dziś jeszcze mimo agitacyi rozległej, która nieco światła nad Górnym Szlązkiem rozlała, przechrzci każdy chłopek, kiedy go się profesor w szkole o imię zapyta, nazwisko swoje polskie z niemiecka, o czem mi powiadał kolega, który tam urzęduje i daremnie się stara, by co najmniej imię dawne ucznia nie skoszlawić. Tedy owa myśl polsko-polityczna będzie tam jeszcze do utopii należała.

Aby taki martwy, bo obojętny materyał poruszyć, potrzeba istnego „majstra". Mistrz taki znalazł się w osobie Karola Miarki. Nie jest to człowiek wysokiej nauki, bo był tylko elementarnym nauczycielem, ani pisarz albo dyplomata biegły, lecz urodzony trybun ludu, który to tytuł w takich razach wszystkie inne przeważa. Los dał mu potężne barki, złote, wymowne usta, wielką rzutkość, sprężystą przedsiębiorczość polityczną i co najgłówniejszą rzeczą, miłość do sprawy i dobrą wolę. Jego „Katolik", pismo ludowe, poruszył pierwszy leniwe dusze włościan, jego mowy po wiecach i zebraniach innych rzuciły między polski lud Górnego Szlązka iskrę zapalną, zwracając uwagę Księstwa na ten zapomniany kąt. „Katolik", organ Karola Miarki, odpowiada zupełnie potrzebom swych czytelników. Język w tem pismie popularny, naginający się do pojęć ludu, przemawia do serc Górnoszlązaków, a tendencya etyczna obok polskiej może tylko dobre owoce rodzić. Miarka jest gorącym katolikiem, gdyż tylko w ten sposób może oddziałać na ludzi, którzy się modlą w polskim kościele. Wnet też za Miarki wskazówką pojawiły się inne siły polskie w Górnym Szlązku. Kilku lekarzy Polaków tam osiadło, kilku księży, a nawet nowe pisma powstały jako to: „Gazeta Górnoszląska" i „Postęp Rolniczy", wydawnictwa dwóch braci Przyniczyńskich, mieszkających w Bytomiu.

Przykro mi wszakże i trudno zataić, iż wydawnictwa ks. Przyniczyńskiego nie mają żadnej wartości dla Górnego Szląska. „Gaz. Górnoszl". nie odpowiada w niczem warunkom, jakie się stawia pismu ludowemu, które chce być racyonalnie redagowanem, czyli w swej sferze użytecznem. Jest to tak zwany „Käseblatt", czyli pisemko, obsługujące czytającą publiczność wiadomościami politycznemi, które redaktor zbiera z gazet innych, podając je w lichem i niestrawnem tłumaczeniu. Pismo ludowe powinno umieć do ludu przemawiać, a „Gaz. Górnoszl." pisze takim językiem, że się czytelnikowi mimowolnie Krasickiego: „Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów i td..." przypomina. Domyśli się każdy, że takiego języka prostaczek rozumieć nie może, bo do myśli, w tak dziwaczne szaty ustrojonej, nawet człek, w literackiem rzemiośle obity, chyba nie łatwo dotrze. Pomijając resztę wad technicznych (niestaranność redakcyi w podawaniu wiadomości, które „Gaz. Górn." bez ładu referuje, ubóstwo wiadomości miejscowych i potocznych i td...) czuje każdy krytyk w tem piśmie brak wszelkiego kierunku, wszelkiej myśli przewodniej, bez czego pismo, jakiekolwiek by ono było, przestaje mieć racyę bytu. I drugie pismo, pod tą samą firmą wychodzące, organ dla rolników górnoszląskich pt. „Postęp Rolniczy" trzeba tylko z żalem zwyczajnem, przedsiębiorstwem pieniężnem nazwać, jak wiele innych np. sprzedawanie kiszek lub śledzi.

Bądź jak bądź, ożywił się zapomniany Szlązk w ostatnich lat dziesiątkach niezmiernie i jeźli praca rącza tak dalej postępować będzie, ocali się ten kącik dla przyszłej myśli polskiej. Głównie się tu Karol Miarka zasłużył.

Obiło się pewno i o wasze lwowskie uszy niedawno bezdźwięczne, a dziś w niemieckiej literaturze dość głośne imię Karola Emila Franzosa. Autor ten powinien nas Polaków daleko więcej zająć aniżeli inni, bo tłem jego prac są stosunki polskie, galicyjskie i wogóle włościańskie. Franzos pisze wszystko: nowelle, szkice, rozprawy, artykuły polityczne, a przedewszystkiem wojownicze. Wojuje on bezustannie; chodzi o to, jaka to walka. Mamy dziś pogląd na jego owoce, bo wydał niedawno 5 tomów różnych prac w Lipsku u Duncker'a i Yumblot'a.

Krytyk, zabierający się do Franzos'a, musi go pochwycić z trzech stanowisk: jako etnografa, polityka i artystę. Etnografowi daję pokój, gdyż nie znając stron Polski, które opisuje, nie mogę osądzić, czy to prawdziwe obrazy, czy tylko fantastyczne. Jako polityk jest p. Franzos tylko Niemcem, choć udaje toleranta, i to Niemcem austryackim. Powiedział sobie, jak pono cała Germania, że tylko niemiecka kultura ma racyą bytu na ziemi, że ona jedna uszczęśliwić zdolna nietylko słowiańskie, europejskie, ale nawet wszystkie ludy kuli ziemskiej.

Otóż, taka tolerancya na nic się oczywiście nie zda, bo Łapończyk np. jak wiemy, przenosi swe dziury śnieżne nad pałace Neapolu itd... „Kultura niemiecka wydaje mi się najodpowiedniejszą i najlepszą dla wschodu, bo ona jedna jest rzeczywista i niesamolubna (sic), i dla tego radzę, aby się rusko-polsko-żydowski wschód poddał jej przepisom ku własnemu dobru." Tak pisze Franzos w przedmowie; słowa te są rzeczywiście programem wszystkich jego robót. Der Drang nach Osten — stara zwrotka a strasznie nudna, aż do ckliwości powtarzana jest tedy główną melodyą pozytywki Franzosowej, bo lutnią talentu jego nazwać nie można. Tylko niemiecka kultura (odpowiada) potrzebom ludzkości, ona jedna może uszlachetnić „dzikie" ludy (halbasiatische volker), które zaludniają wschód Europy. Austrya spełnia misyą cywilizatorską między Słowianami podług Franzos'a. Ona to nauczyła tuzin słowiańskich ludów, które zostają pod berłem Habsburgów, myśleć, pisać, czytać, urządzać się po europejsku, a nawet stworzyła literaturę narodową pojedyńczych dzielnic, która się rozwija na wzór niemieckiej. Takie wyznanie polityczne podoba się Niemcom niezmiernie i dla tego też rozniosła krytyka imię Franzos'a „soweit die deutsche Zunge klingt" w bardzo krótkim czasie. Dalej jest Franzos liberałem. Jako taki występuje przeciw szlachcie, przeciw religii itd... czyli służy temu stronnictwu, które w Prusach nationalliberal nazywa, a wiemy, że właśnie to stronnictwo zasadami liberalnemi nigdy się nie rządziło.

Franzos ma wiele talentu artystycznego i sporą dozę wyobraźni. Obrazy jego są żywe, chwytają one za serce, dykcya płynie szybko, miejscami kwiecistą wstęgą, a zawsze namiętnie Maluje on plastycznie wszystkie postacie swoje, każe im mówić charakterystycznie, skutkiem czego, czytelnik mimowolnie w prawdopodobieństwo uwierzy. I w obrazach tych jest wiele prawdy, choć jej Niemcy nie pojmą, bo stosunków rosyjskich nie znają. Np. w noweli „die Gezwingenen," która należy do przednich utworów autora, widzimy rosyjskiego włościanina z twarzą ogłupiałą, a jednak chytrze-podłą, typ nieszczęśliwca z pod despotycznych rządów. Człowiekowi temu nic nie wolno, bo wszystko musi robić po ukazie; niewolnik słucha, bo tak się nauczył od wieków, ale ilekroć może, kąsa zdradziecko dłoń pańską. Widzimy dalej w tym obrazie rosyjskich urzędników, dla których rubel jest prawem jedynem, służalstwo w górę a okrucieństwo na dół, dla podwładnych, lub z łaski ich zależących, katechizmem nikczemnym; widzimy Sybir z samowolą urzędników, którzy na śmierć przestępców politycznych męczą. My Polacy znamy te obrazy, a Niemcy dziwią się, pytając: czy to możliwe? Obok Rosyan pozują żydzi polscy autorowi. (Die Juden von Barnow, Mein Onkel Bernhard, der wilde Starost und die schöne Jütta.) Franzos gromi sekciarski fanatyzm żydów, ale broni ich przeciw poniewierce polskiej szlachty.

Do imienia powieściopisarza nie może mieć autor pretensyi, bo wszystkie prace jego są tylko obrazkami rodzajowymi, choć przyznać to trzeba, nie bez pewnego talentu. Gdyby nie wysuwał własnej swej osobistej tandencyi na pierwszy plan i to zawsze i wszędzie, byłby dobrym *nowelistą* rodzajowym czyli społecznym. Szybko narobił wiele hałasu, szybko też pewno przeminie.

(Dok. nast.)

T. Jeske-Choiński.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 22. sierpnia.

(W.) Nieboszczyk Sokrates, który mówiąc nawiasem wybornie znał się na grzmotach małżeńskich, jeszcze przed zaprowadzeniem stacyi meteorologicznych w Galicyi, zdefiniował, że po grzmotach zwykła następować ulewa. My, jakkolwiek nie możemy się brać za Sokratesów, zrobiliśmy nowe odkrycie, że gdy na jakimbądź punkcie rozległej monarchii austro - węgierskiej teraźniejszej i przyszłej, zaczyna się upał zwany gorącem parzeniem, to wśród ulewy następuje jeszcze dziennikarskie gradobicie. Niech tylko wystawi kto nos swój po nad zwykły horyzont uregulowanej lojalności, jako zakłócający spokój publiczny, dostaje zaraz szczutka, nie tego co się pisze przez duże S., ale tego najzwyczajniejszego znanego pod imieniem konfiskaty... Ba, nawet sam „Szczutek" przez duże S. dostaje także szczutka bez względu, że to już jest rząd w rządzie, którego tak nieboszczyk „Margrabia"

nie lubił. Mieliśmy tedy w ubiegłym tygodniu prawdziwy grad konfiskacyjny. C. k. prokuratorya skazała na ofiarę całopalenia porządkowi publicznemu nawet samą „Pracę,“ nawet sam „Czas,“ nie mówiąc już o „Ruchu Literackim,“ o „Strażnicy,“ o „Szczutku“ i „Dzienniku Polskim...“ Najwięcej to żal nam było kolegi po piórze kronikarza „Dziennika.“ Człowiek ten, który już od roku sypia na materacach wypchanych paragrafami c. k. ustawy prasowej, przykrywa się kołdrą z najczystszej lojalności utkaną, człowiek, który pisze swoje kroniki w asystencyi sześciu najtęższych głów nabitych szrutem paragraficznym, aż trzy razy musiał nakrywać stół w fejletonie Dziennika, nim podał potrawę podług uznania c. k. prokuratoryi, strawną dla żołądków galicyjskich. Z tych zatem powodów, agituje się we Lwowie myśl zaprowadzenia Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od tego rodzaju szkód elementarnych wyrządzonych dziennikarstwu, szkód, które Wydział krajowy przy układaniu sprawozdania o przyczynach zubożenia kraju pominął.

Oto jest najważniejszy fakt jaki się w tym tygodniu wydarzył we Lwowie, nad którym płaczą szanowni prenumeratorowie tych pism skazanych na zniszczenie. A że zwykle na świecie płacz splata się z weselem, więc i uczniowie gimnazyów lwowskich zacierają ręce z radości, że termin rozpoczęcia nauk przedłużono im do 1. października. C. k. waleczna armia zajęła gmachy tych szkół w swoje posiadanie, i spodziewamy się, że opuszczając te przybytki nauk, zostawi tam dla przykładu młodzieży naszej choć szczątki bohaterskich usposobień przy zwalczaniu nieprzyjaciela. Zdaje się, że szanowny magistrat cokolwiek przerachował spodziewane z tego powodu oszczędności. Ubytek przez miesiąc kilku tysięcy młodzieży we Lwowie, boleśnie da się uczuć i właścicielom pustych lokali, i handlującym i procederzystom, nie mówiąc już o stratach jakie ponosi ucząca się młodzież pod względem naukowym. Kilka set biednych familii utrzymujących uczniów na stancyi, przez ten miesiąc znajdzie się w bardzo krytycznem położeniu; dla nich ten miesiąc przedłużonych wakacyi będzie miesiącem wielkiego postu, umartwienia i długów lichwiarskich..., i kto wie, czy skąpy tym razem więcej niż dwa razy nie straci...*)

Gdy po całej Europie tracono rozmaitych burzycieli spokoju publicznego, gdy Hödla ścinał kat ubrany we frak i białe rękawiczki, (czego jednak żadna z gazet nie nazwała oburzającą bezczelnością), gdy w Odesie rozstrzelano Kowalewskiego, a w Petersburgu zasztyletowano naczelnika III. oddziału cesarskiej kancelaryi, zdaje się, że także w białych rękawiczkach, u nas dzięki Bogu próbowała tylko otruć się jedna, tak zwana, sodówka, to jest osoba sprzedająca sodową wodę z różnemi sokami, i to otruć się z zawiedzionej miłości. Pewien jegomość, przedmiot tajemniczego uczucia tej panny, przeniósł się z zaspokojeniem swego pragnienia do innej budki — okoliczność na pozór tak drobna, a jednak sprowadziła tak groźne następstwa dla rozżalonej... Panowie pijący sodową wodę, proszę was nie zmieniajcie tak często swoich zwyczajów, zwłaszcza, że o żony coraz to trudniej we Lwowie, skoro trzeba je szukać przez inseraty dziennikarskie... Na lato, tak jakoś rozjechały się wszystkie kandydatki do stanu małżeńskiego, że jakiś urzędnik wymagający tak skromnego od żony swojej posagu, bo tylko trzysta reńskich renty, nie może jej znaleść inaczej jak drogą konkurencyi publicznej...

Wyczerpawszy wszystkie przyjemności letnie, nareszcie doszliśmy do takiej apatyi we Lwowie, że już niczego nie pragniemy, niczego się nie spodziewamy. — Deszcz nas nie irytuje, pył nie krztusi, zapach Pełtwi nie drażni, piwo nie gasi pragnienia — a wreszcie i policya nie straszy... Żeby choć ci stróże bezpieczeństwa publicznego z urzędu chcieli zrobić jaką awanturę, naprzykład jak londyńscy policyanci zmowę o podniesienie płacy — mielibyśmy pewną rozmaitość, jakiś przedmiot zajęcia i pogawędki... Sejm i teatr, teatr i sejm, których się doczekać nie możemy, stanowią jeszcze pewien punkt zaczepny, na którym kronikarze miejscy będą mogli poostrzyć swoje pióra. Ale jakże daleko do tego sejmu... jakże ten teatr długo jedzie z Warszawy... — można umrzeć z oczekiwania!

Szczęściem, że na zakończenie niniejszej kroniki mamy do umieszczenia relacyą pewnego wójta gminy, którą nadesłał wydziałowi powiatowemu w Drohobyczu, jako odpowiedź na zarządzenie co do odbycia rewizyi narzędzi ogniowych w tej gminie. Szanowny wójt podpisujący się znakiem krzyża świętego, w ten sposób wystylizował swój raport:

L. 83. Świentny Wydziale powiatowy w Drohobyczy. Zwierzchność gminna Kropiwnika Starego otrzymał z świętnego wydziału rozporządzenie z dnia 12. czerwca 1878 l. 1082 przedłożenie o wykonaniu rewizyi każdego mężczyzny w gminie nałożenia na każdego narzędzia do gaszenia ognia. Azatym zwierzchność gminna na dniu 27. czerwca 1878 r. ogłosił i natychmiast każden z swoim narzędziem przedstawił się i żadnego braku z okazania się, niedostrzeżoną lecz tylko z nałożonemi narzędziamij wszyscy wystąpili; o czem zwierzchność gminna przedkłada świętnemu Wydziałowi relacyę.

Z urzędu gminy Kropiwnika Starego d. 30. czerwca 1878.

† Józio Zdędziak wójt.

Gdyby to nie było śmieszne, byłoby zbyt smutne, że dotąd mamy w Galicyi podobnych wójtów i podobnie oryginalny styl urzędowy tych reprezentantów zwierzchności gminnej.

* * *

(T.) Wychodząca w Warszawie „Gazeta Polska“, zamieściła w Nr. 180 i 181 z r. b. korespondencyę ze Lwowa p. n. Felieton Lwowski.

Przedstawia ona stosunki nasze w Galicyi w tak ponurem świetle, że każdy Polak z pod zaboru moskiewskiego pomyślić sobie musi: — u nas przecie tak źle jeszcze nie jest, choć w rzeczywistości jest daleko gorzej.

Nie stajemy w obronie praw nami rządzących, nie możemy być posądzeni o sympatye niemieckie, nie powiadamy, że nam tu jest dobrze, wszakże nie wahamy się twierdzić, że wszelkie stosunki, nawet materyalne u nas w Galicyi, a pod zaborem moskiewskim, mają się do siebie jak niebo do ziemi.

Jeżeli autor korespondencyi twierdzi, że nas zabija paragraf, którym na wszystkie strony kręcić można, to tam, a znamy stosunki tamtejsze dobrze, paragraf wprost, sam bez kręcenia nim zabija, a stosowanie go oddane samowoli czynownictwa. Jeżeli zaś pod zaborem moskiewskim niektóre gałęzie przemysłu kwitną, to dzieje się to z jednej strony dzięki sprzyjającym okolicznościom, a z drugiej i to głównie, dzięki tamtejszej zapobiegliwości i pracy, wbrew chęciom i usiłowaniom moskiewskiego rządu.

Czytający tak przesadnie czarny opis doli naszej, mimowoli łagodzić będzie w sobie niechęć do rządów moskiewskich, i w tem to właśnie widzimy ujemny wpływ, jakie podobne opinie wywierać muszą na umysły z pod zaboru moskiewskiego, nieobeznane dokładnie z istotnym stanem rzeczy u nas, zwłaszcza na umysły, dbające przedewszystkiem o byt materyalny.

Pisma warszawskie szeroko wykazują cały ciężar rządów pruskich w Wielkopolsce, czemu cenzura moskiewska w duchu przyklaskuje; podobne więc korespondencye o stanie rzeczy u nas, o ile są pożyteczne w pismach tutejszych — tam staną się bronią, którą Moskale skwapliwie podniosą, ażeby wykazać, że Polakom pod ich zaborem jest lepiej — i tem samem ich demoralizować.

LISTY Z KRAJU.

Iwonicz w sierpniu 1878 r.

Każdy mieszczuch z pojawieniem się pierwszych promieni wiosennego słońca, marzy tylko o tem, aby jak najprędzej opuścić zadymiony pokój, uwolnić się od obowiązkowej pracy, spakować manatki, i wyjechać na wieś, w góry, lub też z porady lekarza choćby do zdrojowisk krajowych.

Urzędnik przez cały rok robi oszczędności ze swej skromnej pensyjki, rzemieślnik podwyższa cenę za swoją pracę, biedny literat, nie mając co oszczędzać, udaje się z pokorą do pp. księgarzy i redaktorów prosząc o „forszus“, słowem wszyscy wyruszają na świeże powietrze, aby pokrzepić nadwerężone siły, użyć swobody, żyć z naturą.

Obywatel ziemski, czyli inaczej mówiąc, posiadacz wioski, ma podostatkiem świeżego powietrza, ale ma córkę dorosłą, którejby należało los zapewnić. Sąsiedzi wiedzą, że papa dobrodziej gotówki nie ma, młodzież trzyma się odpornie, trzeba więc jechać do wód krajowych; tam napływ młodzieży z stron dalszych, poznanie łatwiejsze, hypoteka daleko; więc Jankiel daje zaliczkę na nową pszenicę i — w drogę. Trzeba próbować szczęścia, czegoż rodzice nie zrobią dla dzieci?

W ostatnich latach, zdrojowiska nasze zaczynają być coraz liczniej uczęszczane, dzięki pp. lekarzom, którzy zwrócili swoją uwagę na krajowe zakłady lecznicze, i przekonali się, że wody nasze w niektórych chorobach są skuteczniejsze od niejednych zagranicznych, pieniądz zostaje w kraju, tysiące biednych ludzi mają ztąd zarobek, a chory ma to zadowolnienie, że jest pomiędzy swojemi i w razie nieszczęśliwego wypadku, ma łatwiejszy ratunek, bo niech co chcą mówią nasi nieprzyjaciele, mamy serce, i chętnie spieszymy z pomocą każdej niedoli.

Po całorocznem siedzeniu w mieście, zaopatrzywszy się w skromny fundusik, udałem się z porady lekarza do Iwonicza. Opisywać podróż mieszczanina przechodzi moje siły, tyle wrażeń, zachwytu i odurzenia, jakby się u Hawełki w Krakowie wypiło dwadzieścia pięć kufelków pilzneńskiego piwa. Ledwom opuścił miastową rogatkę, zobaczyłem orzącego chłopka, śpiewającą dziewczynę, cielę hasające z zadartym ogonem i wiele innych cudownych rzeczy. Błoga zaduma opanowała całem jestestwem mojem i byłbym marzył Bóg wie dokąd, gdyby nie poczciwy chłopek, woźnica, który mnie zbudził i wskazał cel naszej jazdy — uroczy Iwonicz.

Dyrekcya zakładu udzieliła mi skromny pokoik, bardzo zbliżony do pierwotnych wymogów, w którym przenocowawszy, zaraz na drugi dzień rano puściłem się na zwiedzanie całego zakładu, i poznanie towarzystwa, jakie tam się zgromadziło. Położenie Iwonicza cudowne, otoczony górami strojnemi w lasy, ma uzdrawiające powietrze, pyszne szpalery, śliczne krajobrazy, miejscowość ta może rywalizować pod względem położenia swego z niejednym zakładem leczniczym zagranicznym, a sama Bełkotka z pałącem

*) Dowiadujemy się, że 15. września mają być szkoły otwarte. Jutro zajdą może nowe zmiany. *Przyp. Red.*

się źródłem, godna zwrócić na siebie uwagę wszystkich turystów, chcących poznać piękność, bogactwo i cuda naszej ziemi.

Napływ gości tegoroczny ze wszystkich dzielnic Polski jest dość liczny, tak że sam przez się tworzy mały światek, w którym dobre i złe strony aż nadto dokładnie ujawniają się i występują na wierzch, ale całość jednak dość jest harmonijna i życie płynie tu swobodnie, wesoło i ochoczo. Co tydzień też odbywa się tu w pysznej sali balowej zabawa tańcująca, to znów teatr, lub koncert, a piękne nasze Polki mają ten czar, że największego melancholika zdolne są rozerwać, ożywić i przenieść w świat idealniejszy! Czegoż więc potrzeba więcej?

Bawi obecnie w Iwoniczu zasłużony rolnik p. Teofil Ostaszewski, który jako najstarszy wiekiem, górujący rozumem i sercem, przewodniczy płci brzydkiej; koło niego wszyscy się gromadzą, tworzą jedno koło, gawędka płynie wesoła, pouczająca; nie ma żadnych gier hazardownych, jak to się praktykuje u wód zagranicznych, nie ma wyróżniań się; wszyscy są gośćmi zakładu, każdy stara się uprzyjemnić pobyt swemu poznanemu towarzyszowi; harmonia taka bardzo jest pouczającą i przekonywa, że jak jest dobry przewodnik i u nas może być zgoda. O płci pięknej nie można tego w zupełności powiedzieć; tworzą się koterye, koteryjki, ta jest panią hrabiną, ta znowu ma ciotkę hrabiną, inna jeszcze ma większy majątek itd. ale, są to tylko przelotne chmurki, które pod tchnieniem rozsądku i zacności serc naszych Polek nikną i tylko na chwilę zaciemniają horyzont.

Powiem więcej, że nie jest nawet bez zasług płeć piękna, bo na reunionach bywa w skromnych spacerowych strojach, w czem dodatni wpływ widać na okolicę, a mimo strój skromny. młodzież traci głowy, kocha się na zabój, i jak wieści chodzą, tegoroczne wody skojarzą kilka szczęśliwych małżeństw. Żaden mocarz nie ma tak wielkiej potęgi jak kobieta i to Polka. Nasza płeć brzydka rzuci się z brawurą na nieprzyjaciela, stawi czoło potędze liczniejszych wrogów, ale ulegnie młodej i pięknej kobiecie, gdyż jedno czułe spojrzenie zrobi go jej niewolnikiem. Bo też potęga wdzięków pań naszych, jest tak szeroko znaną i rozsławioną, że próżno było by kusić się o jej odparcie. Bezwiednie, bez kokieteryi, siłą tylko wrodzonego czaru zniewala nas ona i u stóp swoich kładzie

Jak więc widzicie, bawimy się tego roku w Iwoniczu wcale dobrze; a do spędzenia tak przyjemnych chwil, przyczynił się nie mało pan Władysław Bełza, właściciel księgarni ze Lwowa, posiadający w Iwoniczu własną czytelnię, w której można było poświęcić kilka chwil na przeczytanie czy to pism peryodycznych, czy też jakiej pożytecznej książki. Parę razy miewał p Bełza odczyty z dziedziny literatury pięknej, na które zawsze licznie uczęszczali słuchacze; przytem swobodą swą i umiejętnością towarzyskiego życia, nie jednego rozruszał, czy to urządzając wycieczki do ruin zamku Odrzykońkiego, Dukli lub Bóbrki, czy też na bliższą Bełkotkę.

To też goście kąpielowi z panem Ostaszewskim na czele wywdzięczając trudy i starania jakie nieraz dla nich p. Bełza poniósł i jakiemi zjednał sobie ich szczerą sympatyą, rozstając się z młodym poetą uczcili go pożegnalnem śniadaniem, na którem serdeczne toasty, mowy i improwizacye połączone z muzyką i śpiewem artysty p. Miłaszewskiego, składały się na uprzyjemnienie ostatnich chwil Iwonickich... Okazanie ze strony gości tyle sympatyi dla pana Bełzy, sądzę, że było mu wielce miłem, to też dziękując za te dowody życzliwości, widać w nich było rozrzewnienie i może nawet dłużej byłby zabawił w Iwoniczu, gdyby nie obowiązki jakie powołały go do Lwowa, a które nieodłączne są od zajęć jego księgarskich i literackich.

Iwonicz jest skarbem nieocenionym. Woda znakomita okolica pyszna i zdrowa, dwóch młodych i energicznych lekarzy, dr. Dębicki ze Lwowa i dr. Świrski z Jasła, którzy z całem poświęceniem się, udzielają pomocy swej słabym gościom; ale w tem wszystkiem są także i ujemne strony. Oto Zarząd, do którego w imieniu dobra powszechnego odzywamy się, powinien więcej dołożyć starań o porządki w mieszkaniach, o czyściejszą pościel, staranniejszą usługę i umiarkowanie cen zbyt wygorowanych.

Mamy nadzieję, że Dyrekcya Zakładu pozna w tem swój własny interes, i postara się na rok przyszły o te konieczne ulepszenia, które postawią „Iwonicz" na stopie odpowiedniej innym, tego rodzaju zakładom uzdrawiającym po za granicami kraju. A wtedy lekarze polscy, nie będą potrzebowali wysyłać rodaków naszych do Ems, Karlsbadu lub Maryenbadu, bo bogate w lecznicze środki wody nasze krajowe, dadzą im to samo co zagranica, tj. pożądane zdrowie i nieodzowne wygody.

P.........

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Dmochowski F. S.* Krótki zbiór historyi polskiej podług najnowszych źródeł historycznych opowiedziany. Wydanie drugie. 8ka, str. 361. Warszawa 1878. 1.25

— *Gindely A. dr. prof.* Dzieje powszechne dla wyższych klas szkół średnich według czwartego wydania przełożył M. Markiewicz. Tom II. dzieje średniowieczne. 8ka, str. 242. Rzeszów 1878 1.80

— *Grabowski Bronisław.* Sprzymierzeńcy czyli inteligencya w miasteczku. Komedya w 4 aktach. 8ka str. 143. Warszawa 1878. 90 ct.

— *Hugo Wiktor.* Historya zbrodni. Powieść 2 tomy. 8ka, str. 229, 131. Warszawa 1878. 1.70.

— *Jeske August.* A. B. C. czyli nauka czytania i pisania wyłożona metodycznie na podstawie nauki poglądowej. Z drzeworytami podług rysunków M. Andriollego, wzorami rysunkowymi i kaligraficznymi. Wydanie drugie poprawne. 8ka, str. 192. Warszawa 1878 75 ct. Kolorowane 1 złr.

— *Kamocka Józefa.* Bądź wola twoja. Modlitwy i rozmyślania na wszystkie dni tygodnia i miesiąca i td. i td. 16ka, str. 764 oprawne w płótno angielskie ze złoconymi brzegami. 3.40 dtto w skórkę 4 złr.

— *Lewandowski Jakób Henryk.* Poradnik weterynaryi gospodarczej, czyli nauka dochodzenia przyczyn, poznawania i leczenia chorób: koni, bydła rogatego, owiec, trzody chlewnej, psów, kotów i ptactwa domowego, sposobem aleopatycznym i homeopatycznym dla użytku ziemian hodujących zwierzęta domowe. Wydanie trzecie. 8ka, str. 682 z czternastu tablicami rycin w oddzielnej oprawie. Warszawa 1878. 6.70

— *Lubowski Edward.* Pogodzeni z losem. Komedya w 5 aktach. 8ka, str. 143. Warszawa 1878. 1złr. 25 ct.

— *Ładnowski A.* Fraszki I. Stefan z Pokucia, II. Berek zapieczętowany. 8ka, str. 21. Wydanie drugie. Rzeszów 1878. 20 ct.

— *Meyersonowa Malwina.* Z ciasnej sfery, powieść podług podań i papierów familijnych. 8ka, str. 214. Warszawa 1878. 1.80

— *Mostowski Adolf.* Złocona gwiazda, komedya oryginalna w dwóch aktach wierszem i Znakomici i wielcy, komedya oryginalna w jednym akcie wierszem. 8ka, str. 146. Warszawa 1878. 1 złr.

— *Ollendorf H. G.* Teoretyczno - praktyczna metoda nauczenia się czytać, pisać i mówić po angielsku w sześciu miesiącach z oryginalnej edycyi przerobiona i do użytku Polaków zastosowana przez B. L. 2 części z kluczem. 8ka, str. 320. Warszawa 1877. 5.25

— *Szymkiewicz Stanisław.* O ekonomicznym koniu dla Żmudzi i Litwy. 8ka, str. 56. Warszawa 1878. 70 ct.

— *Tripplin dr. Teodor.* Wspomnienia z ostatniej podróży. Tom I. z portretem autora. 8ka, str. 216. Warszawa 1878. Z porachowaniem za całość 4.20

— *Weinberg dr. Julian.* Polacy w rodzinie słowian, z pięciu drzeworytami w tekscie. 8ka, str. 227. Warszawa 1878. 2.65.

— *Zaruski Jan.* Dawne wychowanie szkolne. Notaty ze zbioru przepisów administracyjnych Królestwa polskiego. 8ka, str. 213. Warszawa 1878. 1.25

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Żywot jenerała Jarosława Dąbrowskiego, napisany przez adjutanta jego Włodzimierza Rożałowskiego. Tłumaczenie skrócone z niemieckiego języka przez K. W. Lwów 1878 r.* Z portretem.

Autor skreślił w krótkości żywot Dąbrowskiego do r. 1870 i obszernie rozpisał się o udziale jego w komunie paryskiej. Nie jest to właściwie żywot Dąbrowskiego, ale pamiętniki Rożałowskiego z czasów komuny i doprowadzone tylko do dnia 21 maja 1870 r. gdyż śmierć autora nie dozwoliła mu dopowiedzieć historyi ostatnich dwóch dni komuny. Wydawca uzupełnił ten brak rękopismu z innego pamiętnika. Wiadomo, że Dąbrowski zginął 23 maja. Do dziełka jest dołączona wiadomość o udziale jenerała Walerego Wróblewskiego w komunie wzięta z dzieła Lissagaraya „Historya komuny".

Pamiętnik pisany żywo, zajmująco, rzuca nie mało światła na postać Dąbrowskiego i stanie się cennym przyczynkiem dla przyszłego jego biografa. Większą ma jednak zaletę jako świadectwo z czasów komuny, o której najpotworniejsze a najfałszywsze poglądy są rozpowszechnione. A zawsze lepiej jest wiedzieć prawdę jak powtarzać niedorzeczne brednie. Autor nie daje nam historyi komuny i mało o niej mówi, bo sam ciągle był w ogniu i nie miał czasu zbierać wiadomości, wszelako krótki jego pamiętnik rzuca dostateczne światło do nabrania przekonania o prawdziwym stanie rzeczy.

*** *Na jaw!* Pod tym tytułem wyszła broszura w Poznaniu, o której nawet „Czas" powiada, że jest denuncyacyą.

*** W czasach, gdy prasa europejska wciąż okazuje zupełną nieznajomość stosunków wewnętrznych krajów słowiańskich, godzi się tu wspomnieć o artykule zamieszczonym w ostatnim numerze „*Auslandu*," p. t. „*Culturfortschritte in Galizien.*" Autor p. Arnold Fischer jest wybornie obeznany z krajem o którym pisze i wykazuje tu dokładnie szybki rozwój przemysłu galicyjskiego od początku zeszłego dziesiątka lat i rokuje mu pomyślną przyszłość. Wspomina o nowo powstałych instytucyach finansowych, kasach oszczędności, szkołach drobnego przemysłu i t. d. W szczególności z pochwałami wyraża się o zręczności wieśniaczek do wszelkiego rodzaju robót kobiecych. Przyznaje nadto, że przemysł galicyjski znajduje się w trudnych warunkach, gdyż praca nie znajduje tam opieki cła, któraby ją chroniła od napływu wyrobów innych krajów austryackich, tak, że Galicya w obecnej chwili przedstawia nauczający i pociągający przykład kraju, który bez pomocy cła ochronnego wznosi się do coraz wyższego dobrobytu. Na zasadnicze tylko wywody autora zgodzić się nam niepodobna; uważa on bowiem, że cały ten rozwój zawdzięcza się inicyatywie i przykładowi krajów niemieckich. zwłaszcza Wiednia. Galicya niezawodnie sama sobie tylko zawdzięcza postęp lat ostatnich.

*** Drugie wydanie przekładu cennego dzieła p. Beera p. t. „Historya Izraelitów, od stworzenia świata do powrotu z niewoli Babilońskiej," opuściło w tych dniach prasę. Przekładu z hebrajskiego dokonał p. A. Salonowicz, nauczyciel gimnazyum w Lublinie.

*** P. J. A. Święcicki pisze studya nad literaturą wschodu, w których podaje piękniejsze ustępy z dzieł wschodnich pisarzy we własnym przekładzie.

Szereg prac w tym kierunku stanowi studyum „o poetach i poezyi Arabii przed Mahometem," rozpoczęte w *Bibliotece Warszawskiej.*

*** Kilka dzienników doniosło, iż niezapomniany autor „Kirgiza" Gustaw Zieliński, wykończył nowy poemat p. t. „Samobójca."

*** Pp. Gadomski i Dzienkowski przystąpili do wydania przekładu „Naukowych, filozoficznych i politycznych studyów Herberta Spencera, z których pierwsze p. t. „Obyczaje i Zwyczaje," za dwa tygodnie na świat już wyjdzie.

*** W *Revue britanique* ukazało się studyum pióra Zygmunta Cieszkowskiego, bardzo barwnie i dramatycznie napisane pod tytułem: Un Savonarole polonais".

Mowa tu o Piotrze Skardze, a głównie o jego kazaniach sejmowych.

*** Anglik Lager wydał w Oxforcie utwór poetyczny p. t. „Prometeusz," w którym znajduje się prześliczny jeden ustęp, krajowi naszemu poświęcony.

*** „La Rep. Fr." z dnia 8 sierpnia donosi, iż paryska akademia umiejętności na ostatniem swem posiedzeniu mianowała Karola Darwina, członkiem korespondentem w sekcyi botanicznej.

*** Doktor Julian Ochorowicz, docent uniwersytetu lwowskiego, odbywszy podróż po Włoszech, przybył do Warszawy.

*** Powieść pt. „Le journal d'une femme"

Wszystko to dobre, ale komuna po śmierci swojej opowiedziała, co się jej przedtem śniło?!

Oktawiusza Feilleta przełożoną została na język polski przez pannę Anielę B.

**** W dniu 9. sierpnia robiono w Paryżu bardzo ciekawe doświadczenia z telefonem Gray Edisona i Phelpa na przestrzeni między pawilonem prasowym a pałacem Wersalskim. PP. Préuny, członek akademii umiejętności, de Lesseps, Bapst, Spuller, Vergniaud, de Parville, jeden delegat z ministeryum wojny, liczni również członkowie parlamentów zagranicznych i przedstawiciele prasy, brali kolejno udział w tych doświadczeniach, które jasno dowiodły, że problemat przenoszenia słowa ludzkiego na większych przestrzeniach został w zupełności rozstrzygnięty. Intonacya, akcent, najmniejsze odcienie są oddawane ze ścisłością nie do uwierzenia, a dźwięk przesłany z odległości kilku mil francuskich zachowuje całą swą siłę i jasność. Nazajutrz korespondowano przy pomocy tego ulepszonego przyrządu między polami Marsowemi a Wersalem. Próby dokonywane były wyłącznie przy współudziale i wobec przedstawicieli dziennikarstwa.

Oświata ludu.

**** Drugi wiec włościański w Bialskiem. Przew. ks. prałat Stojałowski zamyśla odbyć w powiecie bialskim drugi wiec, któryby zgromadził lud z całego powiatu w znaczniejszej liczbie. Ażeby zaś wiec mógł odnieść pożądane skutki, a przedewszystkiem, ażeby przyszło do utworzenia kółka rolniczego, w którego zakres ma wchodzić i rozpowszechnienie umiejętnego ogrodnictwa w całym powiecie, przeto wzywa się wszystkich mężów, którzy stoją na czele ludu i nad podniesieniem dobrobytu i oświaty ludu chętnie pracować zechcą, ażeby się zgromadzili dnia 22. sierpnia o godzinie 11 przed południem w hotelu pod czarnym orłem w Kętach, celem utworzenia komitetu, który się zajmie pracami przygotowawczemi około wiecu i oznaczy zarazem czas i miejsce odbycia tegoż.

**** Instytucya kółek rolniczo-włościańskich w Poznańskiem rozwija się bardzo pomyślnie. Jest tam już takich kółek 110. W Poznaniu wydany został właśnie „Rocznik“ tychże kółek za rok bieżący. Między zamożniejszymi obywatelami najgorliwszym dla sprawy kółek jest p. Fabian Chojnacki, prezes kółka znińskiego, który miewa też wykłady w Poznaniu na zebraniu delegatów od kółek. Jeden taki odczyt pt. „O bogactwie krajowem i sposobach podniesienia takowego“ wyszedł niedawno z pod prasy.

Konfiskaty.

**** W pierwszem półroczu 1878 r., skonfiskowano w przedlitawskiej połowie Monarchii czasopism i broszur mniej więcej 320; z których w języku ruskim około 10, polskim 30, włoskim 70, Czeskim i innych słowiańskich 130 a niemieckim 80.

**** Podług danych, zaczerpniętych z „Przewodnika prasowego“ („Ukazatiel po diełam pieczati“) w miesiącu maju r. b. cenzura zagraniczna w Petersburgu rozpatrzyła i pozwoliła wydać: 13 utworów napisanych w języku rosyjskim, 62 w polskim, 110 we francuskim, 182 w niemieckim, 10 we włoskim, 5 w szwedzkim, 22 w angielskim, 4 w hiszpańskim i jeden w portugalskim. Odmówiono zaś sankcyi na wydanie 49 dzieł zagranicznych. Warunkowe pozwolenie otrzymało: 9 utworów napisanych po polsku, 9 po francusku, 7 po niemiecku, 2 po szwedzku, i 9 po angielsku.

Wiadomości ekonomiczne.

**** Wydział krajowy uchwalił przedłożyć sejmowi projekt ustawy, mającej na celu zaciągnięcie krajowej pożyczki dla wyrwania ludu z rąk lichwy. Pożyczka będzie zaciągniętą w formie obligacyj krajowych do wysokości 5 milionów zł. walutą austryacką. Nie będzie ona zrealizowaną od razu, lecz stopniowo, w miarę potrzeby. Co do zdefinansowania jej, wydział krajowy miał się już zupełnie zapewnić w kilku zagranicznych domach bankowych. Fundusze w ten sposób uzyskane, będą użyte na zasilenie Towarzystw pożyczkowych i kas zaliczkowych, w formie pożyczek udzielanych Towarzystwom i kasom za pośrednictwem i poręką wydziałów powiatowych. Między Towarzystwami a kasami — dodajmy to dla wyjaśnienia — zachodzi ta różnica, iż pierwsze oparte są ściśle na zasadach Schulzego z Delitsch, iż korzystają z nich tylko członkowie, mający udziały i odpowiadający za Towarzystwo swoimi majątkami, podczas gdy kasa jest instytucyą raczej dobroczynną, stoi pod zarządem władz gminnych i powiatowych, i — jak okazało doświadczenie, przedstawia bardzo mało gwarancyi. Ztąd też podnosi się przeciw projektowi krytyka, domagająca się, ażeby od korzystania z owej pożyczki wyłączyć kasy, a udzielać funduszów tylko Towarzystwom, na zasadach Schultzego z Delitsch opartym. Domagają się także, ażeby wyjątkowo dla większych Towarzystw zaliczkowych usunąć pośrednictwo i poręką wydziałów powiatowych, jako niepotrzebną i nie raz rzecz całą utrudniającą.

**** Gospodarstwo rybne, tak u nas zaniedbane, może przynosić nie mało dochodu, jeżeli należycie będzie urządzone. Na dowód tego przytaczamy następujący przykład. Jeden z właścicieli ziemskich we wsi Zaciążku, w powiecie łukowskim, gubernii łomżyńskiej, wyłącznie przez hodowlę ryb, pomnożył swój dochód o 600 rs. na rok. Obywatel ów włożył przed dwoma laty w przedsiębiorstwo to kapitał rs. 4.000 — który, jak widzimy, przynosi mu obecnie 15 procent.

**** Wydział Towarzystwa rolniczego dla księstwa cieszyńskiego, uchwałą z 12. czerwca postanowił równocześnie z walnem zgromadzeniem urządzić wystawę ziemiopłodów.

**** Miasto Carycyn stanie się głównem siedliskiem handlu naftą w Rossyi. Dotychczas główną przyczyną niemożebności rozpowszechnienia się w cesarstwie tego krajowego produktu, pomimo że znajduje się w niewyczerpanej ilości, był brak lasu w okolicach eksploatowanych miejscowości, dla przygotowania beczek. W skutek tego przewóz był utrudniony i nafta rossyjska nie mogła konkurować w cenie z zagraniczną, a zbyt ograniczał się bliższemi miejscowościami.

Nekrologia.

† W tych dniach zgasł w Kaliszu Julian Miłkowski, znany a nie bez talentu pracownik na polu literatury i dziennikarstwa.

Ś. p. Miłkowski przed kilku laty redagował *Kaliszanina.*

Zmarły urodzony r. 1829 w Krakowie, kończył tam liceum i uniwersytet.

W końcu był nauczycielem gimnazyum w Kaliszu.

ROZMAITOŚCI.

**** Jedna z gazet francuskich opowiada dowcipną anegdotę.

Pewien Francuz powiedział Hiszpanowi:

W Paryżu bywa niekiedy takie zimno, że zamarza koniak w owiniętych w słomę butelkach.

Hiszpan, płacąc pięknem za nadobne, odrzekł:

To nic dziwnego, w Hiszpanii bywają daleko większe mrozy. Udając się pewnego razu do teatru, przypomniałem sobie, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, że wychodząc zapomniałem zagasić w mieszkaniu świecę. Powracam, i wyobraź pan sobie: — płomień świecy zamarzł.

**** Gazeta paryska „Evenement“ opowiada zdarzenie zabawne, które się zakończyło w sposób tragiczny.

Hrabia N. od roku już był małżonkiem pięknej blondynki. Był on mistrzem w grze karcianej, nie przegrywał nigdy, bo zimną krwią umiał panować nad przeciwnikiem i korzystać z jego pomyłek. Gra też przynosiła mu 80,000 franków rocznego dochodu. Ożeniwszy się, pragnął nadal prowadzić swoje rzemiosło. Lecz w klubie grano w nocy, a młoda żona nigdyby się nie zgodziła, aby małżonek nie nocował w domu.

Położenie było krytyczne. Lecz hrabia miał głowę nie od parady; wynalazł wyborny sposób. Codziennie o godzinie pierwszej po północy wchodził do swego pokoju, kładł na poduszkę sztuczną głowę i przykrywszy ją kołdrą, zwracał twarzą do ściany. Uskuteczniwszy to, szedł najspokojniej do klubu, i wracał o godzinie 6tej rano. Żona była głęboko przekonaną, że mąż zasypia snem sprawiedliwego.

Pewnego razu hrabina miała okropny sen. Słyszała krzyk tłumu... Podjechał wóz.. Mąż jej, ze związanemi na plecach rękoma, szedł na rusztowanie. Szedł on z wolna, blady, po stopniach i po chwili głowa jego spadła pod mieczem kata...

Hrabina krzyknęła z przestrachu i ledwie oprzytomniawszy, pobiegła do pokoju swego męża.

On spał spokojnie.

Pragnąc go objąć, pochwyciła głowę, która pozostała w jej rękach.

Nieszczęśliwa kobieta upadła martwa na ziemię. Mąż, wróciwszy rano z klubu, ujrzał okropny widok.

**** Wielki balon na Wystawie Paryskiej, wzniósł się przeszłego wtorku 6 razy i 169 osób używało tej przyjemnej jazdy. Za 6-tym razem balon wzniósł się tylko do wysokości 80 metrów z której go z powodu wiatru spuszczono na ziemię.

**** Sprzedaż dyamentów królowej Izabelli, która odbyła się w Paryżu i trwała kilka tygodni, skończyła się przeszłej soboty. Ogólna summa otrzymana ze sprzedaży wynosi 3.008,856 fr. i 31 cent.

**** *Znikomość wielkości.* Legendowy kapelusz Napoleona I. został sprzedany na licytacyi w hotelu Drouot za 175 fr. Kupił go znany malarz p. Armand Dumareseg. Cena wywołania była 150 franków.

Paweł Ludwik Courier.

29. lipca br. w miasteczku Véretz we Francyi odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika, wystawionego Pawłowi Ludwikowi Courier. Nazwisko to mało u nas jest znane; a przecież należało ono do człowieka, który liczy się do najznakomitszych publicystów naszego stulecia i który krótką wprawdzie, ale energiczną i do pewnego stopnia skuteczną nawet działalnością, niezatartą po sobie pamięć zostawił.

Urodzony 1772 r., wychowanie i nauki początkowe aż do 15 roku życia odebrał w domu pod kierunkiem wysoce wykształconego ojca, i odznaczył się przedewszystkiem zamiłowaniem i postępami w greczyźnie i matematyce. Kilka lat następnych przepędził w Paryżu i Chalons w szkole artylerzystów; a mając lat 20 wstąpił w szeregi armii francuskiej, odbywając z nią mianowicie kampanie włoskie. Duch jednakże niepodległy nie pozwalał mu przywyknąć do tego życia; to też po bitwie pod Wagram (1809) opuścił służbę wojskową i przeniósł się naprzód do Szwajcaryi a potem do Włoch. Nawet w obozie nie zaniedbywał on swoich studyów hellenistycznych i zawsze miał ze sobą ulubionych autorów greckich; teraz w Rzymie i Tivoli oddał im się całkowicie; odkrył w klasztorze Monte-Cassino ułamek miłośnych sielanek Longusa i ogłosił go drukiem. I później nawet, wróciwszy do Paryża, nie przestał pracować w tym kierunku, tłumacząc Ksenofonta, Lucyana, Herodota, Heliodora czem sobie zyskał w Europie imię niepospolitego hellenisty, o którym wiedziała nawet nasza literatura w osobie znakomitego filologa Grodka, profesora w uniwersytecie Wileńskim.

Gdyby atoli Courier poprzestał jedynie na tych pracach filologicznych, nazwisko jego nie przedarłoby się zapewne poza szranki uniwersytetów i szkół, i nie stałoby się popularnem wśród ogółu. Okoliczności powołały do czynu inną stronę umysłu pisarza, władającego językiem silnym, czystym a pięknym. Posiadając wiele dowcipu, jeszcze więcej talentu a odznaczając się niezależnością i podniosłością charakteru, nie mógł znieść ograniczeń jakie za czasów Restauracyi po r. 1815 we Francyi tamowały swobodny rozwój stosunków. Ludwik XVIII. chociaż pierwsze rozporządzenia swoje datował z 19 go roku swego panowania, wiedział przecież doskonale, że zdobyczy rewolucyi francuskiej, zapisanych w prawach, w instytucyach, w obyczajach. w faktycznem w ogóle stanie rzeczy, niepodobna piórem skasować. Ale przedstawienia, prośby a nawet groźby tego stronnictwa, które z przywrócenia rządu monarchicznego chciało zrobić punkt wyjścia dla powrotu do starego porządku rzeczy, do stosunków feudalnych, dość szybko wzięły górę nad rozumnem przewidywaniem samego króla i rozsądnemi radami niektórych ludzi dobrej woli. Równość obywateli wobec prawa, dostęp swobodny do urzędów publicznych dla wszystkich, swoboda sumienia, własność prywatna, którą się każdy chłop cieszył, wszystko to zagrożonem było przez wściekłą reakcyę owego stronnictwa. W Paryżu miarkowała się ona jeszcze; ale na prowincyi występowała w całej ohydzie. Wymownym tłómaczem oburzenia przeciw nadużyciom zwycięskiego stronnictwa był właśnie Ludwik Paweł Courier, który poczynając od roku 1816 aż do śmierci swojej tj. do r. 1825 wydawał broszury jedna po drugiej, albo drukował świetne artykuły w dzienniku „Censeur“ (1819, 1820). Najsławniejsze z pomiędzy nich są bezwątpienia: Simple discours du vigneron de la Chavounière; Lettres aux âmes dévotes de la paroisse de Véretz i Pamphlet des pamphlets.“

Prostota opowiadania, nieprzeparta siła rozumowania, wzniosłość uczuć i poglądów, zaprawiona dowci-

pem sarkastycznym, oto główniejsze zalety, które nadały pismom Couriera rozgłos niesłychany i uczyniły najpopularniejszemi w swoim czasie publikacyami, zarówno w salonach liberalnych jak w warsztatach i chałupach. Byłoby może trochę przesady, gdybyśmy broszury Couriera porównali ze sławnemi na świat cały *Listami Juniusa*, jak to robią niektórzy znakomici pisarze francuscy: niezaprzeczoną wszakże jest rzeczą, że pomiędzy 1816 a 1825 r. nie było we Francyi pisarza, takich zdolności i takiego wpływu jak „właściciel winnicy w Chavouniére.“ Benjamin Constant był spokojnym teoretykiem, który zyskiwał uznanie u ludzi więcej nauką niż praktyką zajmujących się; Courier z zapałem szermierza walczył przeciw nadużyciom reakcyjnej szlachty i ciemnego duchowieństwa, a jednak nigdy nie przekroczył granic naznaczonych przez rozum i doświadczenie.

Courier nie pragnął bynajmniej żadnego gwałtownego przewrotu; ale żądał ścisłego zachowywania konstytucyi; nie walczył przeciw uczuciom i ideom religijnym, owszem tak samo jak Benjamin Constant nie cierpiał cynicznej niewiary, ale z całą zawziętością powstawał przeciw nabożnisiom (les cagots), co w niedzielę tańczyć zabraniali, przeciw fanatykom, co chcieli społeczeństwu nowożytnemu narzucić więzy instytucyj średniowiecznych. Umiał on rozróżnić, co należy szanować a czemu wojnę wypowiedzieć, kochał sprawiedliwość, na której spoczywa nowożytny ustrój społeczny, i całą duszą stawał w obronie głębokich swoich przekonań.

Te to wielkie zalety sprawiły, że pamięć Couriera w 53 lat po śmierci, zadanej ręką mordercy, zgromadziła na jego grobowcu przedstawicieli Francyi spółczesnej i z ust Leona Renaulta, Edmunda About'a, Juliusza Simon'a i Eugeniusza Rigault'a wywołała słowa najsympatyczniejszego uznania i najszczerszego uwielbienia.

Edmund About słusznie zauważył, że i dzisiaj jeszcze tak samo wrogie jak za czasów Restauracyi działają potęgi i że wspomnienie Couriera wśród obecnych okoliczności nie jest bynajmniej nie na czasie.

P. Ch.

HOMER, — HIOB.

(Z Wiktora Hugo.)

Jak woda do stu rozgrzana stopni nie może już więcej przyjmować cieplika, tak myśl u niektórych ludzi dosięga ostatecznych swych granic.

Eschyles, Hiob, Fidyasz, Izajasz, Juwenal, Dante, Rabelais, Michał Anioł, Cervantes, Shakespeare, Rembrandt, Beethoven i kilku innych, oznaczają owe sto stopni geniuszu.

Ludzki duch ma szczyt.

Tym szczytem jest ideał.

Bóg schodzi po nim na ziemię, człowiek wstępuje w błękity.

W każdem stuleciu trzy lub cztery geniusze podejmują się wedrzeć na górę. Ludzkość patrzy za nimi i widzi ich zdala wspinających się z mozołem, kroczących po nad przepaścią, znikających w chmurach, ukazujących się znowu. Już są wysoko; oko dostrzega tylko punkty czarne... Jacy oni mali! woła tłum. Są jednak olbrzymami.... Kroczą dalej. Droga jest spadzista i uciążliwa. Każdy krok napotyka mur, każde poruszenie przeszkodę. Im wyżej się wznoszą, tem większe ogarnia ich zimno. Muszą wykuwać stopnie w lodzie — wykuwać stopnie w nienawiści..... Burze szaleją... Nierozważni postępują ciągle naprzód.... Przepaście mnożą się ze wszech stron....

Niektórzy z kroczących upadają. Inni zatrzymują się i wracają; znużyli się.... Odważni idą dalej; wybrani wytrwają. Straszliwa wyniosłość łamie się pod ich stopami i chce ich pociągnąć za sobą w przepaść; chwała staje się zdrajcą.

Orły przypatrują się wybrańcom, błyskawice dotykają ich... Burza szaleje. Nic to nie znaczy; wytrwają; wstępują wyżej. Ten który doszedł do szczytu, jest tobie równym, Homerze.

Przejrzyjcie imiona które wymieniliśmy, i te, które moglibyśmy dodać. Wybierać między niemi jest niepodobieństwem.

Jeżeli chcecie ograniczyć się tylko na poetach i pisarzach, to badajcie jednego po drugim. Króry jest największym? Wszyscy.

Jeden z nich, Homer, jest olbrzymem, poetą i dziecięciem. Świat powstaje i Homer śpiewa. Jest on ptaszyną tej jutrzenki. Ma on świętą czystość poranku i nie zna prawie cieniów.

Chaos, ziemia, Geo i Ceto, Jowisz — bóg bogów — Agamemnon — król królów — ludy, świątynie, miasta, urodzaje i ocean; walczący Diomedes i błądzący Odysseusz, błędne podróże okrętu szukającego ojczyzny; cyklopy i pigmeje; karta świata z wieńcem bogów na Olimpie, a w niej gdzieniegdzie dziury, przez które widać Ereb; kapłani, dziewice, matrony, małe dzieciątka, które się boją; pies, który sobie przypomina; wielkie słowa, padające z pośrodka bród siwych; przyjaźnie i nienawiści. Wulkan celem szyderstwa w niebie jak Terezytes na ziemi; obie strony małżeństwa wystawione naprzód na wszystkie wieki w osobach Heleny i Penelopy; Styx, fatum i pięta Achillesa, bez której fatum byłoby zwyciężone przez Styx; potwory, bohaterowie, ludzie, tysiące przezroczy w mgle starożytnego świata.... cała ta niezmierzoność — to Homer.

Naprzód pragnienie Troi, potem tęsknota za Ithaką. Homer jest wojną i podróżą, dwie najpierwotniejsze drogi na których ludzie się spotykają. Namiot napada na wieżę a okręt bada nieznane, co również jest napadem. W około wojny wszystkie namiętności, jak w około podróży wszystkie pogody. Całość stanowią dwie olbrzymie gruppy: pierwsza, krwawa, nazywa się Iliadą — druga świetlana› Odysseą.

Homer nadaje ludziom wielkość nadzwykłą; rzucają oni na siebie odłamami skał, które dwanaście wołów nie poruszyłoby z miejsca, nawet bogowie niechętnie z nimi się wdają. Minerwa chwyta Achillesa za włosy, on odwraca się gniewnie i pyta: czego chcesz odemnie bogini? Zresztą, nie ma tam monotonności między temi potężnemi postaciami. Homer utworzywszy bohatera, łamie formę. Ajax syn Oileusza, jest mniej wielkim niż Ajax syn Telamona. Homer należy do geniuszów, którzy rozwiązują piękny, może najpiękniejszy, problemat sztuki: prawdziwe przedstawienie ludzkości przez powiększenie człowieka, tj. utworzenie realizmu w ideale. Bajka i historya, hypoteza i legenda, chimera i wiedza — z tego składa się Homer.

Jest on bezdenny a jasny i czysty. Wszystkie głębie starożytności poruszają się świecąc słonecznie w niezmierzonym błękicie tego ducha.

Likurg, kapryśny mędrzec, pół Solona i pół Drakona, został zwyciężony przez Homera. W podróży zboczył z drogi, by w domu Kleofila czytać poezye Homera, które jak niosła legenda, leżały tam złożone na pamiątkę gościnności, której Homer niegdyś w tym domu używał.

Dla Greków Homer był bogiem; miał kapłanów: homerydów.

Gdy pewien rektor przechwalał się, że nigdy nie czytał Homera, Alcybiades uderzył go w twarz.

Boskość Homera przeżyła pogaństwo.

Michał Anioł powiedział: „Czytając Homera oglądam się czy nie urosłem na dwadzieścia stóp.“

Podług legendy pierwszy wiersz Iliady ma być wierszem Orfeusza. To podniosło jeszcze w Grecyi cześć dla Homera.

Danko, córka Pytagoresa, objaśniała w świątyniach Teresę Achilla (18 Księga Iliady).

Homer, jak słońce ma także swoje planety. Wirgiliusz, który napisał Enejdę, Lucan z swoją Farsalią, Tasso twórca Jerozolimy, Ariost z swoim Rolandem, Milton śpiewak Raju utraconego, Camoens z swoją Luzyadą, Klopstok autor Messyady, Wolter z Henryadą, wszyscy ci krążą w nierównych odstępach w koło Homera i jego rozmaicie załamane światło posyłają znowu swoim księżycom. Takim jest Homer. Takim jest początek epopei.

II.

Drugi Hiob zaczyna dramat, i embryo to jest kolosem. Hiob przed czterdziestu wiekami zaczyna dramat wprowadzeniem Jehowy i Szatana. Pierwiastek złego wyzywa pierwiastek dobrego, i akcya jest rozpoczęta. Ziema jest sceną a człowiek przedmiotem walki; cierpienia są osobami. Straszliwa wielkość tego poematu leży w tem, że słońce tu jest posępne. U Hioba słońce weszło jak u Homera; lecz nie jest to już poranek, tylko południe. Śmiertelne znużenie pod palącemi promieniami spadającemi prostopadle na pustynię, napełnia ten gorejący poemat. Hiob oblany potem leży na swoim barłogu. Cień jego jest mały i schowany pod niego jak wąż pod kamieniem. Zjadliwe muchy brzęczą w około jego ran. Nad głową swoją ma on straszliwe słońce Arabii, rodzicielkę potworów, które boleści czyni nieznośnemi, kota zamienia w tygrysa, jaszczurkę w krokodyla, węgorza w węża, pokrzywę w kaktus, wiatr w samum, miazmę w mór.

Hiob żyje przed Mojżeszem. Jednocześnie z Abrahamem, patryarchą żydowskim, żyje Hiob, patryarcha arabski. Zanim został nawiedzony, był szczęśliwy; najmożniejszym był nad wszystkie ludzie na wschód słońca, mówi poemat. Był książęciem-rolnikiem i wykonywał potężne kapłaństwo samotności. Ofiarował i święcił. Każdego wieczora błogosławił ziemię. Był uczonym; znał rytm. Jego poemat, którego arabski tekst zaginął, był pisany wierszami, z pewnością przynajmniej od trzeciego wiersza trzeciego rozdziału aż do końca. Był dobrodusznym. Nigdy nie spotkał biednego dziecięcia, nie dawszy mu małej jałmużny; był okiem ślepemu i nogami chromemu. Z tej wysokości został strącony i po swym upadku jest olbrzymem.

Cały poemat Hioba jest rozwinięciem jednej myśli: wielkości w nieszczęściu. Hiob jest majestatyczniejszym w niedoli aniżeli w szczęściu. Trąd staje mu się purpurą. Głębia jego upadku przeraża tych co się w około niego znajdują. Mówią do niego dopiero po siedmiodniowem milczeniu. Skarga jego ma w sobie coś cichego, posępnego, czarującego. Skorupą zgarniając ze siebie robactwo, mówi do Oriona i do „gwiazd południowych.“ Dyament, który ukrył, nazywa „Kamieniem ciemności.“ W nędzy swej, myśli o nieszczęściu innych i znajduje tragiczne słowa, które ziębią jak lód: „samotna, która nie rodzi.“ Ale uśmiecha się on także, ale wówczas staje się jeszcze okropniejszym.

Dla niego Eliphas, Bildad i Zophar są trzema wzorami ciekawych przyjaciół. „Gracie na mnie jakby na strunach,“ mówi do nich.

Mowa jego zwrócona do Boga, pokorna i uległa.

Jehowę uwielbia, ubóstwia Go, i upadając pod ciężarem rozlicznych cierpień, pyta tylko Boga: „przecz-że nie przestajesz, aż połykam mą ślinę?“

Poemat ten ma cztery tysiące lat. W tym samym być może czasie, kiedy tajemniczy astronom z Denderah wykuwa w granicie zagadkowy swój zodjak, Hiob wykuwa swój w ludzkim duchu, a zodjak jego nie składa się z gwiazd, tylko z cierpień. Krąży on jeszcze po nad naszemi głowami.

Z poematu Hioba mamy tylko hebrajskie tłómaczenie dokonane przez Mojżesza. Taki poeta z takim tłómaczem, to daje do myślenia. Mąż z Synai tłómaczy męża z barłogu.

Hiob jest w samej rzeczy kapłanem i wieszczbiarzem. Z swojego dramatu wychodzi dogmat, cierpi i.... wnioskuje. Ale cierpieć i wnioskować znaczy nauczać. Boleść i myśl prowadzą do Boga. Hiob naucza.

Treść Nr. 52.

str.

Sprawy kultury krajowej. 241

Za winy niepopełnione. Powieść, przez Michała Bałuckiego (c. d.) 242

Emilio Castelar przez Marka Polnicza (Dok.) 243

Historya 3go pułku piechoty liniowej wojska polskiego z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831. Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku (c. d.) 245

Niebieski kapelusik. Nowella przez Karola Nerreya (Dok.) 246

Państwo i jego granice, studyum prawno-państwowe, przez Edwarda Laboulaya. Tłómaczył Józef Schiff (c. d.) 247

Wrażenia z podróży na Wschód przez J. z T. T-R. (c. d.) 248

Pai Metafizyka. (Z Béranger'a) Wiersz przez M. Rodocia. 249

Kartka miłości. Powieść Emila Zoli. Spolszczyła Wincenta Limanowska. (c. d.) . . 249

Korespondencye „Tygodnia“. Wschowa. . 252

Tydzień lwowski. 252

Listy z kraju. Iwonicz. . . . 253

Bibliografia polska. 254

Wiadomości z kraju i ze świata. . . 254

Rozmaitości. 255

Paweł Ludwik Courier. . . . 255

Homer-Hiob. (Z Wiktora Hugo). . . 256

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki**